16

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 2. WARSZAWA, 14 STYCZNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ŻYWA TORPEDA

POD choinką tegoroczną każdy znalazł to, o czem śnił. Ale, niestety, sny, zwłaszcza osób starszych, bywają ciężkie. Mnie np. ze świąt pozostało w pamięci kilka cyfr, które mnie bardzo zafrasowały.

Jeden z tych obrazów cyfrowych dotyczy naszych stosunków. W noworocznej ankiecie „Kurjera Warszawskiego" na temat przesilenia, dręczącego świat współczesny, zabrał głos p. Feliks Młynarski, prezes komitetu finansowego Ligi Narodów, b. wiceprezes Banku Polskiego, człowiek świadomy rzeczy. O Polsce mówi on w ten sposób:

„Położenie w Polsce przedstawia się z powyższego punktu widzenia wprost dramatycznie: Przedłożony sejmowi budżet na rok 1933/34 podaje *brutto* sumę 4,4 miljarda złotych, jako globalną sumę wydatków państwowych, włączając monopole i przedsiębiorstwa państwowe. Nie jest to wszystko, bo dorzucić należy jeszcze rozchody samorządów i ubezpieczeń społecznych. Łączna więc suma wydatków publicznych, preliminowanych na rozpoczynający się rok, znacznie przekracza 5 miljardów! Suma gigantyczna. Cały nasz dochód społeczny nie wynosi obecnie więcej, niż 12 miljardów rocznie, raczej nawet mniej, a więc zaledwie drugi raz tyle, ile wynosi całość preliminowanych na rok przyszły wydatków publicznych.

Oznacza to w języku potocznym, że w rozpoczynającym się nowym roku mniej więcej połowa dochodu społecznego będzie musiała przechodzić przez kasy publiczne i że społeczeństwo polskie będzie musiało pracować około 6 miesięcy, aby zaledwie zaspokoić wymagania ciał publicznych. Piękny prezent na Gwiazdkę! Z czego będziemy kapitalizować, jeżeli śruba fiskalna będzie nas zmuszać do poświęcania aż połowy roku na obsłużenie potrzeb państwa i ogółu instytucyj publicznych?"

Nie żal pół życia, wysilonego w pracy, poświęcić na cele publiczne. Aby tylko była ta praca i dawała dobre owoce. Ale tu rodzą się kwestje dramatyczne, między innemi ta, jak zużytkowana jest owa pierwsza połowa dochodu społecznego. O to ma prawo pytać obywatel polski (teraz się mówi: mieszkaniec Rzplitej), ratujący się od nędzy i nie mogący już nic poza tamtą połową poświęcić na cele cywilizacji narodowej. Jakichże doskonałych warunków pracy potrzeba, ileż animuszu ów „mieszkaniec" musi z siebie dobyć, aby obie te połowy były w sumie wielkością pokaźną, wystarczającą Polsce na istnienie i rozwój w skali, odpowiedającej jej stanowisku historycznemu! Wytwórczość, bilans handlowy dodatni, dobrobyt— o słodkie sny pod choinką!

Oto druga porcyjka cyfr. W jednym z dzienników pomorskich p. dr. Tadeusz Kiełpiński opowiada taką historję:

„W czasie mego ostatniego pobytu w Antwerpji byłem świadkiem wyładowywania transportu rowerów, przybyłych z Jokohamy. Tego samego wieczoru zlikwidowano całą „partję"; — rowery, nieustępujące najlepszym modelom francuskim, sprzedawano po 52 franki belgijskie za maszynę, t. zn. 13 złotych polskich!!!

Ale to jeszcze niczem w porównaniu do transportu zegarków, które w Brukseli sprzedawano tydzień temu na wagę, płacąc nie od sztuki, ale od kilograma towaru!

Wyroby tekstylne japońskie biją wszelką konkurencję europejską. Koszule męskie z surowego jedwabiu kosztują *loco* Paryż 10 franków fr. Tak samo obuwie. Tak samo papier. Tak samo porcelana we wspaniałej rzeczywiście obróbce, a kilkakrotnie tańsza od najbardziej konkurencyjnej porcelany francuskiej. Są to pierwsze jaskółki dumpingu japońskiego w Europie; natomiast na rynkach azjatyckich i południowoamerykańskich wyparcie towarów z Tokjo i Jokohamy jest już nawet trudnem do pomyślenia. Wszystkie bitwy, jakie staczał przemysł sowiecki z monopolem szwedzkim są niczem

w porównaniu z konkurencją japońską, bijącą cztery razy najtańszy eksportowy towar rosyjski, i to nietylko pod względem ceny, ale i jakości".

W obrazku tym widzimy Japonję, i to zblizka, bo już jest w Antwerpji. Jakaż to miła gwiazdka: rower za 13 zł., koszula jedwabna za 3 złote! Jakież to wszystko było dalekie jeszcze dziesięć lat temu, kiedy Lewjatany uśmiechały się ironicznie na przepowiednię R. Dmowskiego, iż blizki jest kres pomyślności przemysłu europejskiego! Można sobie wyobrazić, jak niewesołe miały święta Anglja, Niemcy, Belgja, a zwłaszcza Sowiety, znalazłszy pod choinką prezenty japońskie.

Zapewne, my nie mamy tak wielkiego przemysłu, jak tamte kraje, pogodziliśmy się z utratą rynku wschodniego w Rosji, nie konkurujemy wytwórczością przemysłową, jednak będziemy zmuszeni dzielić w dużej mierze skutki katastrofy gospodarczej z Europą, choćby z powodu nadmiernego rozrastania się budżetu państwowego, które oglądaliśmy na pierwszym obrazku.

Pracujemy już pół dnia na pokrycie potrzeb życia publicznego, ale w miarę wzrastania nędzy, na coraz mniejszą ilość ludzi spadać będzie ten ciężar, który bynajmniej nie ma zamiaru się zmniejszać. A mogą nadejść wypadki (zapowiadane już wiatrami z zachodu i wschodu), które wymagać będą wielkiego budżetu.

Trzeba pracować i kapitalizować, tymczasem coraz mniej jest pracy. Bezrobocie w Polsce ma tendencję zwyżkową. Statystyka urzędowa wykazuje na gwiazdkę, że w d. 30 grudnia 1933 r. liczba bezrobotnych, zarejestrowanych przez rząd, wynosiła 342 tysiące. W r. 1929 było ich 185 tysięcy. Zanim zima się skończy, liczba ta — jak przepowiadają — urośnie do 500 tys. A przecież to, co zarejestrowano, jest tylko cząstką rzeczywistości; nazwać to można elitą, która, o ile korzysta z zapomóg, nie tylko nie pracuje, ale obciąża budżet publiczny. A gdzież są bezrobotni i głodni po wsiach i miasteczkach? Statystyka wykazuje szczególnie szybki wzrost bezrobocia w ostatnich czasach w Polsce. Ubiegłego lata wszędzie w Europie jakoś przybyło pola pracy; u nas pole się zmniejszyło i to właśnie wtedy, gdy na słynnym zjeździe gospodarczym „sanacji" obwieszczono uroczyście, że kryzys już się skończył.

Optymistów w Polsce trzeba szukać w owej pierwszej połowie polskiego dnia pracy, mianowicie wśród „elity", rozporządzającej budżetami publicznemi. Ta ma wrażenie, że już wszystko zsanowała. Ba, tutaj stosuje się do spraw miarę luksusu.

Skoro już traktujemy muzykę dnia bieżącego i przyszłości w akordach europejsko-japońskich, to powiem jeszcze o jednym podarku gwiazdkowym. Japonja wymyśliła podobno zabawkę, jakiej jeszcze świat nie widział: żywą torpedę. Na oko taka sobie torpeda, jaką widywaliśmy na wojnie ostatniej, ale tem różna wewnętrznie, że ma żywe serce i oczy i rękę kierującą. W torpedzie japońskiej będzie zamknięty człowiek. Ot, niespodzianka! Zwłaszcza dla Sowietów, które świąt nie obchodzą i choinki nie urządzają, więc nie mogą tego podarku uważać za świąteczną *„igruszkę"*. Niemile też będzie widziana w Stanach Zjednoczonych i w Anglji, wszystkim nam jednak daje ona wiele do myślenia, mianowicie w zakresie badań kryzysu moralnego; już nie gospodarczego, ale moralnego.

W Japonji zgłosiło się podobno parę tysięcy młodzieży, gotowej oddać swe serce torpedzie. Tymczasem serce białego człowieka zamiera na samą myśl o losie człowieka, zamkniętego w torpedzie. Bo istotnie, jakże mocny trzeba mieć mięsień sercowy, żeby powziąć naprzód pomysł takiej torpedy, albo potem — decyzję zamknięcia się w tym aparacie ze stu procentową pewnością śmierci! Nasze bohaterstwo wojskowe oparte bywa na szaleństwie, ale zazwyczaj na szaleństwie ryzyka. Żołnierzowi na lądzie, na morzu, czy w powietrzu świeci zawsze szansa przeżycia wysiłku, jakaś nagroda w radości wewnętrznej, bądź laur; tutaj świeci tylko pewność, płynąca z wiary w naród, że żyć będzie moją ofiarą. Rozumiemy tę filozofję, ale bardzo trudno Europejczykowi wejść w psychikę, człowieka, za którym zatrzaskuje się wejście do aparatu. Zamknąć trzeba serce bardzo szczelnie i nie stracić przytomności, aby szczytowe zadanie życia spełnić — w trumnie.

A z drugiej strony, co począć może okręt, gdy go ściga taka trumna? Co przeciwstawić może państwo wojujące — armji, będącej w stanie takiego uniesienia wiary narodowej?

Europejczyk przeciera oczy, bo zapomniał już, co było 30 lat temu. Była przecież wojna z Japonją. Co przeciwstawi Japończykowi żołnierz, pozbawiany planowo wszelkiej wiary w życie pozamaterjalne? Tutaj miejsce na rozważenie wogóle stopy moralnej naszego życia zbiorowego. Przytoczę przykład pierwszy z brzegu: telegram z Paryża z d. 4 stycznia („Kur. Warsz."):

„Zamordowanie premjera Duci i przesilenie rumuńskie zwróciło uwagę francuskiej opinji publicznej na wysiłki propagandy hitlerowskiej, zdążające do odciągnięcia Rumunji od sojuszu z Francją i Małą Ententą. Według rewelacyj, które ogłasza w dzisiejszym *„Echo de Paris"* Pertinax, hitlerowcy wydali na tę propagandę w ostatnich miesiącach 30 miljonów lei".

Z tych ludzi, którzy zakosztowali smaku owych 30 miljonów, napewno żaden nie zamknąłby się w torpedzie ku obronie swego kraju.

Umyślnie dla wyrazistości obrazu wprowadziłem kolor żółty Japonji, aby uwydatnić bezbarwność moralną mapy europejskiej z powodu nadwątlenia pierwiastka patrjotycznego. Dyskusja o kryzysie, wznowiona za pomocą ankiety w „Kurjerze Warszawskim", rzuciła sporo światła na znaczenie

czynnika moralnego w katastrofie, która grozi cywilizacji europejskiej.

Należałoby to zagadnienie moralności szczegółowiej rozpatrzeć. Położono w tej ankiecie duży nacisk na fakt upadku religijności — i słusznie. Ale w duszy ludzkiej żadnego wątku nie należy traktować w oderwaniu od całości organicznej. Na obszarze życia zbiorowego, przedewszystkiem politycznego, gdzie psychika występuje w postaci ducha narodu, jako osobowości, nie można odplątać religijności od patrjotyzmu — oboje bowiem przenikają się wzajemnie, stanowiąc rdzeń tego, co nazywamy moralnością publiczną. Sprawa solidarności narodowej, jako podstawy kultury moralnej, jest centralną w całem zagadnieniu. Gdy się ją wymija, czy to ze względów doktryny liberalnej, że sprawa stosunku do narodu jest kwestją indywidualnego poglądu, czy też ze stanowiska (dziś modnego) etatystycznego, że jednostka jest zerem w życiu politycznem (najwyżej mieszkańcem Rzplitej), wszystko bowiem za nią zrobi państwo po dyktatorsku, — to wtedy stajemy w pustce, na stanowisku mistycznej wiary w aparat państwa, bez pomyślenia nawet o tem, skąd się wezmą owi cudowni, patrjotyczni, bohaterscy ludzie do obsługi tego aparatu.

Moralność publiczną utrwalić w strukturze społeczeństwa i państwa, cnoty obywatelskie w jednostkach wyhodować można tylko przez wychowanie pokoleń w duchu narodowym, aby każda jednostka czuła się solidarna z całością w pojmowaniu wspólnego dobra i w odpowiedzialności za nie. Tę siłę moralną państwa dobywać trzeba z podstaw przyrodzonych i z długowiecznej kultury instynktów; wtedy dopiero może państwo stawiać czoło wrogom zewnętrznym i kryzysom; wtedy w najgorszych okolicznościach stosunki staną się znośne, a zwycięstwa pewne; wtedy, gdy każdy będzie gotów do służby, choćby w torpedzie.

Nie chodzi dosłownie o torpedę; każda chwila w powszedniem działaniu stawia jednostce i zbiorowości pewne wymagania moralne. Czyż ta koszula jedwabna za 3 zł. nie jest torpedą w nasz europejski ustrój pracy codziennej? Przecież i tu praca „mieszkańca Rzplitej“, poświęcającego pół dnia na zaspokojenie potrzeb publicznych, musi być podgrzewana jakąś ideą moralną. Tego, co może i winien dać z siebie naród, państwo nie kupi za stanowiska, zapomogi, nagrody i ordery; gdyby to było nawet możliwe ze względu na ogólne bankructwo moralne, to nie wystarczy na to budżetu, choćby mieszkaniec Rzplitej pracował na niego dziesięć miesięcy w roku; bo jużby trawa nie rosła, a z piasku nie ukręciłoby się bicza na popędzanie do pracy.

A przychodzą czasy, w których dla przezwyciężenia kryzysu i wytworzenia nowych warunków pracy potrzeba będzie człowiekowi przedewszystkiem dużego zasobu sił moralnych, przezwyciężyć bowiem będzie musiał stare nałogi i skazać się na pewnego rodzaju ascezę. I dokona wielkich rzeczy, ale tylko wtedy, gdy odzyska zaufanie do życia publicznego, że jest budowane na prawdzie. Dziejom potrzebny jest nietylko grzbiet obywatela, potrzebne jest przedewszystkiem jego serce. Ta mała torpeda do stałej walki z przeciwnościami.

ZYGMUNT WASILEWSKI

UWAGI O PROGRAMIE GOSPODARCZYM. — I.

BEZDROŻA

ZAGADNIENIE programu gospodarczego obozu narodowego było zawsze bardzo trudne. Z istoty swojej obóz narodowy nie jest związany z żadną doktryną gospodarczą, poza pewnemi założeniami najogólniejszej natury.

Nie brak nawet takich, którzy twierdzą, że ruch narodowy i światopogląd narodowy nie jest związany z żadnemi założeniami, prócz jednego: dobro narodu — dobrem najwyższem. Tak pojmowany światopogląd narodowy może ludzi doprowadzić do komunizmu narodowego, nie przeszkadzając równocześnie bynajmniej przyjęciu za podstawę narodowego programu gospodarczego... zasad liberalnej szkoły gospodarczej. I jedno i drugie zjawisko — to chorobliwe dewjacje poglądu narodowego na sprawy gospodarcze.

Ruch narodowy polski unika tych bezdroży, gdyż z jednej strony nie wierzy w możliwości rozwoju sił żywotnych narodu, jeżeli naród nie będzie się opierał o zasady chrześcijańskie (w tym wypadku chodzi głównie o prawo własności osobistej i rodzinnej, jako wskazanie etyki chrześcijańskiej najbardziej związane ze sprawami gospodarczemi). Dalej polski ruch narodowy, zwłaszcza w jego młodym odłamie, odczuwa raczej instynktownie, że, jak się to mówi, żyjemy w okresie wielkich przemian, i nie można stosować do nich miary doktryn dnia wczorajszego.

Dzięki temu właśnie ruch narodowy może się ustrzec bezdroży w ustalaniu programu gospodarczego. Ustrzec się może, ale nie zawsze się ustrzegał.

Jedni próbowali budować program gospodarczy obozu narodowego w oparciu o doktrynę liberalną, stwarzając cały szereg wyjątków od tej doktryny. Zbiór tych wyjątków nazywali narodowym programem gospodarczym.

Inni znowu próbowali się opierać ślepo o gotowe wzory z zewnątrz i przyczepiali przydomek „narodowy“ do różnych „izmów“, nie wyłączając komunizmu. Oczywiście, poglądy takie mogły być jedynie wynikiem płytkiego ujmowania zagadnień gospodarczych i niezrozumienia naszej odrębności.

Narodowy program gospodarczy nie może być liberalizmem z wyjątkami. Doktryna liberalna zbankrutowała z powodu swej powierzchowności, dalej z powodu oderwania od warunków życia

współczesnego, wreszcie z powodu destrukcyjnego wpływu szkoły liberalnej na społeczeństwo.

Z punktu widzenia naukowego szkoła ekonomiczna, która triumfowała w wieku 19-ym, popełniła cały szereg kardynalnych błędów. Ograniczyła ona niesłychanie zakres swych badań. Opierając się na kilku prostych założeniach, doszła do sformułowania bardzo subtelnych określeń, ujmowanych nieraz w formy skomplikowanych równań matematycznych. Wszystko to jednak miało bardzo luźny związek z rzeczywistym przebiegiem zjawisk gospodarczych. Cała teorja ekonomiczna 19-go wieku miała dużą wartość, jeżeli chodzi o zrozumienie zagadnień statyki. Pojęcie „równowagi gospodarczej" było jej podstawą. Zjawisk dynamicznych ekonomika nie wyjaśniała.

Nie-ekonomistom trzeba dać przykładowe wyjaśnienie tego błędu. O cenie poszczególnych dóbr decyduje prawo podaży i popytu. Popyt zależny jest od tego, w jaki sposób jednostki oceniają wartość poszczególnych dóbr. Otóż w tej dziedzinie zachodzą olbrzymie zmiany pod wpływem ewolucji psychiki zbiorowej. Nie tylko ocena różnych dóbr, lecz również sposób patrzenia na rozmaite zagadnienia ulegają w społeczeństwie dzisiejszem szybkim zmianom.

Wysnuwając różne wnioski z ocen, istniejących w danej chwili i na tej podstawie budując system teoretyczny, ekonomja 20-go wieku nie interesowała się zmianami w tych ocenach. Stąd była oderwana od życia. Szablon „człowieka ekonomicznego" był tak samo daleki od człowieka rzeczywistego, jak szkoła ekonomiczna od życia.

Moralność społeczeństwa wywiera również wpływ olbrzymi na życie gospodarcze. Tymczasem ekonomja zna tylko jedno społeczeństwo: „ludzi ekonomicznych."

Dla zrozumienia różnic, jakie zachodzą w życiu gospodarczem w zależności od zmian w psychice społeczeństwa, wystarczy porównać Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z Indjami. Ludność Stanów Zjednoczonych najbardziej bodaj zbliżona jest do ideału „ludzi ekonomicznych", dąży do wielkich zysków, do maksymalnego zaspokojenia potrzeb materjalnych. Jakże inaczej wygląda życie w kraju Gandhiego! Czyż nie komiczne jest wprost stosowanie tej samej miary doktryn ekonomicznych do obu tych krajów?

Jak różne są stosunki gospodarcze w zależności od miejsca, tak samo zmieniają się w czasie. Cóż to jednak wszystko może obchodzić czystego teoretyka? Zacieśnił on tak dalece zakres swych badań, że wie bardzo mało. Za subtelność teorji zapłacił jej powierzchownością.

Dotychczasowa doktryna ekonomiczna jest nietylko powierzchowna, jest także oparta na założeniach, dziś nieistniejących. Teorja wartości, wychodząca z założenia wolnej konkurencji, nie może już dzisiaj tłumaczyć w wystarczający sposób kształtowania się cen, gdyż proces organizowania życia gospodarczego posuwa się szybko naprzód. Ceny bardzo dużej ilości dóbr oraz płace nie są normowane przez podaż i popyt, lecz przez walkę organizacyj.

To już tak jest z teorjami: opierają się one o rzeczywistość dnia wczorajszego. Nauka idzie za życiem, a nie życie za wskazaniami nauki. Stąd myślenie przy pomocy szablonów raczej utrudnia, niż ułatwia zrozumienie życia.

Wreszcie ekonomja liberalna ma jeszcze inny grzech na sumieniu. Zdemoralizowała ona życie gospodarcze. Wysunęła tezę o zgodności interesu jednostki z interesem ogółu. Na przykładzie konkretnym najwyraźniej występuje jej błąd: przemysłowcy winni płacić możliwie najwyższe zarobki, by warstwa robotnicza kupowała dużo ich produktów. Tymczasem w interesie każdego przemysłowca leży, by wszyscy inni płacili duże zarobki, on sam zaś jaknajmniejsze, gdyż w budżecie jego wydatek na robociznę ma poważne znaczenie, zaś zbyt wyrobów u własnych robotników—bardzo małe lub żadne.

Ubiegłe stulecie, z jego naiwną wiarą w zgodność interesu jednostek z interesem ogółu, fatalnie zaciążyło nad nami. Ludzie uwierzyli, że powinni tylko sami dbać o swój interes w ramach prawa obowiązującego. Ramy prawa zaś były znacznie szersze od ram moralności.

W życiu gospodarczem robi się szereg rzeczy wyraźnie niemoralnych, a jednak zgodnych z przepisami prawa. Wymienimy tu tylko częste nadużycia w spółkach akcyjnych, wyzysk uprawiany przez kartele, eksploatowanie zubożałego kraju przez różne organy publiczno-prawne i t. p. Ludzie, którzy to robią, sami nie zdają sobie sprawy z tego, że postępują w sposób niemoralny. Nie oni są temu winni, lecz fałszywa doktryna, której ich nauczono. Doktryna ta dała im niejako zwolnienie z troski o interes ogółu.

W miarę, jak upadało poczucie moralności w sferach gospodarczych, komplikowało się życie. Powstawały nowe formy, nowe instytucje, nowe sposoby robienia interesów. Ustawodawstwo szło w tyle za tym rozwojem, nie mogąc tak szybko ulegać zmianom i przeobrażeniom, by móc zapobiec popełnianiu rozmaitych oszustw w ramach prawa.

Obok narodowego liberalizmu widzimy także... narodowy komunizm. Jest to dość oryginalna doktryna, opiera się ona na założeniu, że w państwie narodowem naród nie powinien nic mieć do gadania. Dyktatura wykonawców planu gospodarczego ma, wedle tej doktryny, zastąpić świadomy wysiłek narodu. Uważając rodzinę za podstawową komórkę społeczeństwa, a prawo własności nietylko osobistej, ale i rodzinnej za podstawę ładu społecznego, musimy stać daleko od ideologji komunistycznej.

Jest ona nam obca także przez to, co ma wspólnego z grzechami obecnego ustroju gospodarczego w państwach kapitalistycznych. Materjalistyczne i jednostronne pojmowanie motywów działania gospodarczego w dziedzinie podstaw ideowych, zaś miażdżenie żywego człowieka pod ciężarem władzy kolosów gospodarczych (kartele w państwach kapitalistycznych, trusty sowieckie) w działalności praktycznej — oto wspólne cechy komunizmu i hyperkapitalizmu.

Młode pokolenie czuje instynktownie, że zarówno doktryny liberalizmu jak komunizmu są mu obce. Poglądy swe formułuje jednak częściej w postaci negatywnej, niż pozytywnej. Stąd brak jasno sformułowanego programu gospodarczego.

Zamierzam w kilku artykułach sformułować, nie tylko od strony negatywnej, to, co myślą o zadaniach gospodarczych młode pokolenia obozu narodowego. Oczywiście, będą to tylko moje zapatrywania indywidualne. Zdaje mi się jednak, że podziela je szersze koło młodych.

WOJCIECH ZALESKI

ZAGADKA ZGONU STEFANA BATOREGO

ZAŁOŻYCIEL Akademji Wileńskiej, organizator skarbowości i twórca Trybunału, przerastał Stefan Batory umysłowością swoje otoczenie. Z wielką kulturą łączył on rzutkość, energję i przedsiębiorczość. Bojownik niezrównany, strategik wybitny, dzieląc trudy obozowe z żołnierstwem, nie przestawał snuć wielkich planów przekształcenia ustroju Europy Wschodniej. Sekretarz królewski Heidenstein w swoich „Dziejach" (t. II, str. 204) tak charakteryzuje Batorego: „Natura obdarzyła Stefana najświetniejszemi przymiotami umysłu i ciała, jakby w jednej osobie jego okazać pragnęła całą doskonałość ludzką. Miał on w twarzy, w postawie i w mowie dziwną powagę, a obok tego jakąś dziewiczą powściągliwość i lubość... Roztropność jego była podziwu godną. Nabył jej czytaniem i rozważaniem historyków węgierskich, tureckich i włoskich. Lubił najbardziej Cezara i ciągle miał go pod ręką. Po łacinie mówił doskonale, a wszystkie jego słowa nosiły na sobie niezaprzeczone piętno mądrości, tak dalece, że za wyrocznie prawie uchodziły".

Nosił się Batory z wielkiemi planami na przyszłość. Urok sławy wojennej, który króla otaczał w oczach szlachty polskiej, zachęcał go do rozpoczęcia wielkich przygotowań wojskowych. Na początku 1585 r. wydał Stefan Batory z Grodna uniwersał, zwołujący sejm do Warszawy. Obok sprawy Zborowskich było, w tem zdaniem nuncjusza Bolognetti'ego, dążenie króla do uzyskania zasiłków na prowadzenie wojny. Król Stefan zamierzał bowiem urzeczywistnić wielkie przedsięwzięcie wojskowe. Był niem zamiar wypowiedzenia stanowczej walki następcy Iwana Groźnego, Teodorowi, aby po opanowaniu uprzedniem Carstwa Moskiewskiego skruszyć potęgę Ottomańską. Niejednokrotnie mawiał Batory do nuncjusza, że najważniejsza droga do Carogrodu prowadzi przez Moskwę. Podboju państwa tureckiego miała dokonać koalicja państw europejskich, z której pomocą łacniej mógł być przeprowadzony wielki plan.

Jednak projektami politycznemi króla początkowo nie przejęła się zbytnio, zgromadzona w stolicy, szlachta. Uwaga jej, zajęta sprawą Zborowskich, przeszła do porządku nad planami zdobywczemi władcy. Nadomiar tego, w parę tygodni potem nadeszła wiadomość o śmierci papieża Grzegorza XIII, głowy koalicji europejskiej, którą, za sprawą Batorego, przygotowywano przeciwko Ottomanom. Wichrzyli też Habsburgowie, rozpoczynający w tym czasie starania o wprowadzenie na tron moskiewski arcyksięcia Maksymiljana.

Pozatem zaczęła Stefanowi Batoremu dokuczać rana (na lewej nodze), którą otrzymał w bitwie pod Hadadum. Leczyli na to cierpienie króla lekarze włoscy, Buccella i Simoniusz z Lukki. Batory zważał mało na przepisy uczonych medyków. Buccella i Simoniusz, nie chcąc brać na siebie całkowitej odpowiedzialności, wyrazili życzenie wezwania innych jeszcze lekarzy. U boku króla pojawiają się żydowscy doktorzy: Eleazar Aszkenazy, Salomon Kalachora i Mathias. Dolegliwości czyniły jednak coraz większe postępy. Rana na nodze, rozszerzając się stopniowo, a nie mogąca się zagoić, wprawiała Batorego w stan nadmiernej drażliwości. Król stał się milczącym i gniewnym; z człowieka rzutkiego i energicznego zmienił się, (jak pisze Al. Kraushar w swojej pracy p. t. „Czary na dworze Batorego", str. 43) — „w samotnego mistyka, szukającego w czarach i wywoływaniu duchów zapomnienia".

Niezwłocznie po zamknięciu sejmu, władca Polski, jakby szukając ulgi w oddaleniu od wrzawy dworskiej, wyjechał do Niepołomic. Za królem udał się tam wojewoda sieradzki, Olbracht Łaski, zwolennik Habsburgów, który nie mógł długi czas przebaczyć Stefanowi odebrania mu Lanckorony. Pałając nienawiścią do króla, udał się wojewoda, po wstąpieniu Batorego na tron, do Ratysbony, gdzie przebywając w otoczeniu cesarza Maksymiljana, należał do liczby tych, którzy listami i obietnicami zbrojnej pomocy zachęcali Gdańsk do oporu. Śmierć cesarza, niepowodzenia materjalne i sukcesy Batorego przekonały Łaskiego o konieczności pogodzenia się z władcą Polski. Sprytny magnat wziął się do rzeczy energicznie. Zjednawszy sobie Batorego, niezwłocznie złożył na sejmie przysięgę na wierność Ojczyźnie i królowi i zajął poprzednie miejsce w senacie.

Przybywszy do Niepołomic, Łaski zachęcił króla do zapoznania się z głośnymi podówczas magami i spirytystami: d-rem Janem Dee i Edwardem Kelleyem. Czarnoksiężnicy przebywali w tym czasie w Krakowie, dokąd przybyli oni na zaproszenie Łaskiego z Anglji. Z tymi zagadkowymi ludźmi łączyły od wielu lat Olbrachta Łaskiego bliższe stosunki. Już w czerwcu 1583 r. odbyła się, według słów djarjusza Jana Dee, w mieszkaniu magów w Mortlake tajemnicza scena „objawienia się dobrego anioła Hemese", mająca wyrazistą formę politycznego proroctwa. W „kaplicy świętej", do której tylko nielicznych wybranych dopuszczano, Łaski usłyszał głos: „Stefan, król Polski, zamordowany nędznie ginie... Powołają Ciebie do rządów książęta.. Uczynią Cię wodzem Polski... Wtedy dojdziesz do upragnionego celu"...

Olbracht Łaski zbliżył się z Janem Dee i Edwardem Kelley'em, swoimi dawnymi znajomymi, na początku 1583 r., podczas pobytu w Anglji. Co skłoniło wojewodę sieradzkiego do odwiedzenia Albionu, o tem współcześni pisarze i historycy nasi naogół milczą; jeden tylko Sobieszczański w „Encyklop. ogólnej wiedzy ludzkiej" Ungra (IX, 74) napomyka, że Łaski jeździł do tego kraju w poselstwie. Uroczyście przyjmowany przez królowę Elżbietę, jej otoczenie i sfery naukowe (senat uniwersytecki Oxfordu), co nawet ówczesnych Anglików, podziwiających znajomość języków i nauk filozoficznych u wielmoży polskiego, zastanawiało, nawiązał Łaski kontakt z głośnymi w Londynie czarnoksiężnikami.

Wśród uroczystych przyjęć, urządzanych przez sfery angielskie na cześć polskiego „księcia", pisze Kraushar („Czary na dworze Batorego". str. 135), wojewoda sieradzki nie tracił z uwagi najgłówniejszego celu swej podróży, a mianowicie, zetknięcia się z astrologiem, Janem Dee. Nie mogło to ujść uwagi władczyni Anglji, która, jak zaznacza Kraushar w swojej książce p. t. „Olbracht Łaski" (str. 207), lubiła bardzo Jana Dee, zajeżdżała często do

Mortlake, gdzie on zamieszkiwał, przyjmowała udział w rozmowie z duchami i radziła się go nawet w różnych poważnych kwestjach. Odniosła się ona przychylnie do dążeń wojewody sieradzkiego, ułatwiając mu możność spotkania się z pożądaną osobistością. Wkrótce potem odbyła się w „kaplicy" mistrza w Mortlake wyżej omówiona tajemnicza scena. Królowa Elżbieta nie mogła o tem nie wiedzieć, gdyż mag, zdaniem Kraushara („Czary"... str. 233), był politycznym agentem, używanym do śledzenia tajemnic dworów monarszych w Austrji, Niemczech i w Polsce.

Od chwili objawienia wojewodzie horoskopu świetnej przyszłości — która, jak nas uczy historja, nigdy urzeczywistnić się nie miała — zaczęły się przygotowania do powrotu do Polski. Jan Dee, ażeby utrzymać Łaskiego w wierze co do swojej czarnoksięskiej potęgi, oświadczył wojewodzie, iż objawił mu się anioł Uriel, a na zapytanie mistrza: „Jaką da wskazówkę, co do jego (Łaskiego) powrotu do Ojczyzny, odpowiedział... Królestwo jego będzie przywrócone znowu" (Kraushar: „Czary"... str. 147). Djarjusz Jana Dee opisuje szczegółowo podróż orszaku czarodziejów, która trwała przeszło cztery miesiące.

Od marca 1584 r. przebywali czarnoksiężnicy z przerwami w Krakowie, prowadząc nieustanne rozmowy z Łaskim. Obracały się one przeważnie około politycznej roli, jaką miał odegrać wojewoda sieradzki w przyszłości. Że nie były te rozmowy przyjazne Batoremu, widać to z bojaźni magów, ażeby król Stefan nie dowiedział się od swoich przybocznych o działaniach i sprawach przybyszów. Mistrz Jan Dee, jak zaznacza Kraushar w „Czarach..." (str. 165)., w odbywającej się 18 czerwca 1584 r. „akcji" zwrócił się do anioła Uriela z pytaniem, czy król wie o jego poczynaniach, na co duch odpowiedział: „Król nic o waszych działaniach nie wie".

W kwietniu 1585 r. nastąpiło pierwsze spotkanie Jana Dee i Edwarda Kelley'a z Batorym na zamku królewskim, podczas którego król zapewnił magów o swej przychylności dla nich. Ściślejsze stosunki nawiązały się między królem, a Janem Dee i Edwardem Kelley'em podczas pobytu władcy Polski w Niepołomicach (przy tak zwanych „akcjach" z duchami), dokąd udał się on po świętach wielkanocnych. Djarjusz pobytu czarnoksiężników w Niepołomicach niewiele podaje wiadomości. Są ślady, że król Stefan wynagrodził hojnie starania magów, którzy już w czerwcu podążyli do Pragi, gdzie nawiązali ścisły kontakt z Puccim, przebywającym przedtem dość długo w Polsce między socynjanami.

W lipcu 1585 r. widzimy Batorego znowu przy pracy. Podjął on na nowo przycichłą w ciągu ostatnich miesięcy sprawę wschodnią, czego dowodem był list pisany do Possewina. Nawiązując ścisły kontakt z głównym powiernikiem swych wojowniczych zamiarów, król Stefan przygotowywał się z dawną energją do dokonania zamierzonego dzieła. Budził on podziw w otaczających swojemi niezwykłemi projektami. Przed najbliższymi snuł szerokie plany przesunięcia cywilizacyjnego wpływu Europy poza dotychczasowe granice. Król Stefan zwołał sejm walny na luty 1587 r., a jak świadczą Heidenstein i Solikowski, tym razem wojenne plany króla mogły liczyć na uznanie. Świetne perspektywy, jakie nowa wojna otwierała, olśniewały szlachtę. Wobec wielkości planów królewskich ucichły: zawiść, wyrzekania i skargi. Naród wierzył królowi. I w samej Moskwie nie wątpiono, że Batory zatknie niebawem swój zwycięski sztandar na murach Kremla. Wszystko zdawało się sprzyjać wielkim zamiarom. Pod dobrą wróżbą zwołany został sejm na początku 1587 r. Sejmiki, obradujące w grudniu 1586 r., powolne były życzeniom króla. Zbliżała się godzina wielkiego czynu. Pod przewodnictwem Polski, z jej bohaterskim królem na czele miała się odbyć krucjata państw chrześcijańskich Europy. Nigdy większych i śmielszych planów nie podejmował żaden władca Polski i nigdy kraj nasz nie stawał w obliczu tak doniosłego zadania.

Batory, stojąc mocno przy powadze majestatu królewskiego, wytrwałością i energją zdobył sobie uznanie u jednych, szacunek i powagę u drugich. Nawet ci, co na „tyraństwo" królewskie narzekali głośno, uznawali w głębi serca wielkie zasługi Batorego. „Widziałem, że takim był panem"—mówił na konwokacji w roku 1587 Andrzej Zborowski, marszałek nadworny — „iż nie jedne lwy wiodąc, jako z łaski Bożej naród polski, litewski, może lwy nazywać, ale by i jelenie był wiódł, nie przegrałby z niemi, temu własną jego chwałę daję" („Djarjusze sejmowe r. 1587", str. 236). Jeżeli tak odzywał się brat Samuela po śmierci króla, do którego czuł żal głęboki, to ogół narodu musiał zapewne uważać Stefana za „odnowiciela" sławy swojej i przyznawać, „że po onych mężnych Bolesławach, żaden z królów polskich nad niego prędzej hardszego i możniejszego nieprzyjaciela nie skrócił".

Batory, dla którego nowa wojna z Moskwą była w jego monumentalnym systemie politycznym dopiero początkiem całego szeregu dzieł epokowych, nie był fantastą, lecz politykiem wyrachowanym, obliczającym zimno widoki powodzenia. Ten znakomity mąż wierzył i w naród, i w siebie, i w sprawę, której wszystkie siły, a nawet życie gotów był poświęcić. Wielka idea przewodnia, która przyświecała Polsce, wykrzesała w narodzie święty ogień zapału i porwała go do czynu. Skłócona szlachta polska stawała się z powrotem gotową do poświęceń. Król Stefan umiał zręczną polityką pozyskać sobie Litwę i województwa ruskie, wpływem Zamoyskiego trzymał na wodzy anarchistów wielko- i małopolskich, a imponując prawdziwemi zasługami około Rzeczypospolitej nawet mniej przychylnym, stał się panem sytuacji i mógł naród porwać i poprowadzić do wielkich przeznaczeń. Jakoż zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że chwila ta była bliską. Niezmordowany umysł Batorego układał wielkie plany, mające przeistoczyć kartę Europy, a Polsce i jej władcy zgotować nieśmiertelną sławę. Jako król Polski wiedział on dobrze, że wzrost i pomyślny rozwój państwa zawisł od złamania potęgi ottomańskiej; jako pan chrześcijański widział w olbrzymiem przedsięwzięciu wojny tureckiej pożytek całego chrześcijaństwa. Po śmierci Grzegorza XIII zasiadł na stolicy apostolskiej Sykstus V, energiczny, surowy i skłonny do wielkich, a śmiałych przedsięwzięć. Ten, dowiedziawszy się o zamiarach Batorego, kazał natychmiast przedłożyć sobie akta, odnoszące się do tej sprawy. Król, uradowany tym zwrotem rzeczy, wysłał do Rzymu, z obendjencją dla nowego papieża, arcybiskupa lwowskiego Solikowskiego i synowca swego, Andrzeja Batorego. Andrzej wiózł szczegółową instrukcję o wojnie tureckiej i moskiewskiej. Były tam przedstawione dokładnie plany

Stefana w jednym i drugim kierunku: łatwość zawojowania Moskwy i projekt wyprawy tureckiej. Przy pomyślnym obrocie rzeczy, o czem król nie wątpił, Polska stawałaby się pierwszą w Europie potęgą.

I oto w tak ważnym dla narodu momencie zabrakło woli kierowniczej, genjuszu wojennego, przez wielu historyków polskich stawianego na równi z genjuszem Bolesławów. Z Niepołomic, po krótkim pobycie w Krakowie, udał się Stefan Batory do Grodna, gdzie 12 grudnia 1586 r. zmarł.

Tak nagła i niespodziewana śmierć wielkiego króla musiała wywołać ogólne zainteresowanie. Jaki był stan zdrowia Batorego, sądzić można na podstawie trzech świadectw, z których dwa pochodzą z pierwszych lat jego panowania, trzecie prawie że z dnia jego zgonu. „Kompleksja jego i zdrowie są zadziwiające“—pisał w roku 1578 nuncjusz Calligari do sekretarza stanu, kardynała Camo. „Zdrowie króla“, — pisze Heidenstein („Dzieje“, II, 20) —“ było ciągle dobre, bo zahartował ciało pracą i trudami“. „Król wybornie miał się na zdrowiu“ —pisał znowu Jerzy Chiakor, sekretarz królewski do Wolfganga Kowackiego, kanclerza siedmiogrodzkiego, w parę dni po zgonie Batorego. Podziwiał też silną budowę ciała Stefana Batorego Rudolfino, inżynier w służbie polskiej. Takiego samego zdania o stanie zdrowia króla Stefana była zapewne większość ówczesnego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, iż wielu Polakom nasunęły się poważne podejrzenia, że król został otruty. Stały się one przyczyną ożywionej polemiki, która wywiązała się po śmierci króla między Simonjuszem i Buccellą. Przypisując sobie wzajemnie nieumiejętność leczenia, nie pozostawili oni potomności rzeczywistej djagnozy choroby, która miała spowodować zgon władcy Polski.

Aleksander Kraushar w swojej pracy p. t. „Czary na dworze Batorego“, (str. 44) zarzuca włoskim lekarzom, że „mając na względzie tylko zewnętrzne oznaki choroby, nie chcieli, czy też nie umieli wnikać w psychiczny stan pacjenta“. Celem Al. Kraushara jest wykazanie, że stan psychiczny Stefana Batorego, jego przygnębienie moralne odegrały, poza niezagojoną raną w nodze, decydującą rolę w przyśpieszeniu zagadkowej śmierci tego władcy. Co się tyczy opinji ówczesnego społeczeństwa polskiego, które wprost oskarżało lekarzy o przyśpieszenie zgonu królewskiego, to przechodzi on nad nią do porządku dziennego. Niejeden czytelnik zada sobie pytanie, czy słuszne jest takie ustosunkowanie się autora „Czarów na dworze Batorego“ do jednej z największych tragedyj narodu polskiego. Książka Al. Kraushara, opisująca misterja Jana Dee i Kelley'a, a zakończona przepowiednią świetnej przyszłości Łaskiego oraz ścisły stosunek magów z Florentczykiem Puccim, powiernikiem socynjanów, mogą budzić pewne przypuszczenia, że niektórym czynnikom zależało na usunięciu z widowni dziejowej granitowej postaci Batorego.

Mam wrażenie, że przedewszystkiem zależało na zgładzeniu króla różnym sektom, którym nie była na rękę wzrastająca potęga Polski. Im to Batory zawdzięczał w poważnej części tron; popierali go Szafraniec i Piotr Zborowski. Jego interesy przybył popierać w Polsce głośny arjanin, Jerzy Blandrata, posiadający tutaj między protestantami rozgałęzione stosunki. Król, który zapewnił jezuitom, wbrew opozycji biskupa krakowskiego Myszkowskiego i Uniwersytetu, stały pobyt w Krakowie, a protestantom ryskim odebrał w sposób gwałtowny kościoły, nie był wygodny. Nie mogła też podobać się sekciarzom zdecydowanie antyturecka polityka Batorego, z Turcją bowiem byli podówczas w bliskich stosunkach. Na dworze królewskim widzimy lekarzy włoskich, Simonjusza i Buccellę, którzy należeli do socynjan. Szczęsny Morawski w swojej pracy p. t. „Arjanie Polscy we Lwowie“ (str. 93) pisze, że „Buccella był spowinowacony z Jerzową Morsztinową, z domu Łaską, gdyż siostrzenica jego była żoną Krzystofa Morsztina“. Był też Buccella bliski Socyna Fausta, noszącego we wtajemniczonych kołach socynjańskich pseudonim Turpillo. Pseudonim ten był znany Buccelli, który zaopiekował się Socynem Faustem po przybyciu tegoż do Polski. Dowodzi to, że Buccella był członkiem tajnej organizacji socynjańskiej, założonej w 1545 r. w mieście Vicenza. O Simonjuszu zaś dowiadujemy się z rękopisu Albertrandi'ego p. t. „Panowanie Henryka Walezego i Batorego“ (str. 345), że: „... gdy Karol Radziwiłł, wybierający się do Rzymu, króla (Batorego) żegnał, Simoniusz upewnił go, jakoby król niedługo miał życie przeciągnąć. To samo Krzysztof Zborowski powiadał, że od Buccelli słyszał, przydając do tego, iż doktór ten ofiarował mu przysługę swoją do uprzątnięcia króla... Godna rzecz uwagi, ktorą Heidenstein podał potomności t. j., iż trochę przed śmiercią królewską widział list Księcia Pruskiego, w którym ostrzegał króla, aby się miał na ostrożności od lekarzy własnych...“

Za socynjanami stali żydzi, w których interesie było rozbicie narodu polskiego na wrogie sobie obozy. Już w okresie powstania inkwizycji hiszpańskiej żydostwo zainteresowało się państwem polskiem, jako przyszłą główną siedzibą synów Izraela. Wzrost kalwinizmu i szeregu innych sekt, opartych silnie o Stary Testament, a wrogich Rzymowi, był im niezmiernie na rękę. Celem zwalczenia zdecydowanie katolickiego kandydata, arcyksięcia rakuskiego, dokonała się, przy współdziałaniu agenta żydwskiego, Salomona Askenazego i za sprawa protestantów elekcja Stefan Batorego. Wyraźnie o tem pisał Andrzej Dudycz do cesarza: „Stefan, popierany przez Szafrańca i odstępcę Piotra Zborowskiego, może stać się groźnym współzawodnikiem, tem groźniejszym, ile że interesa jego przybył popierać w Polsce głośny arjanin, Jerzy Blandrata, posiadający w Polsce między protestantami rozgałęzione stosunki“ (Kraushar: „Olbracht Łaski“ str. 73). Był też Blandrata, jako uczeń marrana Serveta, pochodzącego z Aragonji (Rolicki: „Zmierzch Izraela“, str. 158), związany tysięcznemi nićmi z kołami żydowskiemi, ktore utrzymywały żywe stosunki z kierownikami licznych sekt w Polsce.

Batory jednak zawódł nadzieje żydostwa i sekciarzy. Wielkością swoich planów zjednoczył szlachtę. Za jego przyczyną naród polski miał stanąć na czele wielkiej koalicji katolickiej przeciwko Ottomanom, z którymi tajna organizacja socynjańska zawarła odpowiedni pakt. Natchnął król Stefan kierownicze sfery narodu optymizmem i związał je ściśle ze Stolicą Apostolską, sprowadził pozatem do Polski zakon Jezuitów, przygotowując tem samem w niedalekiej przyszłości przewagę katolicyzmu w kraju. Były to poczynania, z punktu widzenia kierowniczych sfer żydowskich, nie do przebaczenia. Potężna i katolicka Polska, stająca, w razie spełnienia planów wielkiego króla, na czele wszystkich niemal ludów słowiańskich, nie mogła się stać żadną miarą schronieniem prześladowanych

w Europie żydów. Wzmocniona za ostatnich Jagiellonów (dzięki reformacji, która rozbijała jedność duchową narodu) pozycja synów Izraela była teraz poważnie zagrożona.

Wielkie niebezpieczeństwo groziło też tureckim żydom, wśród których rezydował w tym czasie prezydent Synhedrjonu, mający siedzibę swoją w Safecie w Palestynie. W interesie narodu wybranego było przedwczesne zejście Stefana Batorego z tego świata.

ANDRZEJ RAWICZ

WIECZNA MŁODOŚĆ POEZJI STAROPOLSKIEJ

U ŹRÓDEŁ RADOŚCI ŻYCIA ANDRZEJA ZBYLITOWSKIEGO[1])

ZIEMIAŃSKA radość życia, radość bujna i młoda, z ziemi ojczystej jak kwiat wyrastająca i jak kwiat uśmiechnięta, stanowi nieśmiertelny czar poezji staropolskiej.

Kto nie rozumie cudów, ukrytych w tej poezji, ten nie rozumie podłoża, z którego, jak bujny dąb, wyrosło całe piśmiennictwo polskie.

Mówiąc o dawnej naszej poezji powinniśmy zarzucić raz na zawsze szkolarskie poglądy i zrozumieć, że poezja dawna nie zawsze jest poezją minioną. Andrzej Zbylitowski, dziedzic Góry Zbylitowskiej i Zagorzyc, natchniony piewca wsi (z drugiej połowy XVI w.) jest tego wymownym przykładem.

Wieś stanowi jego żywioł, jego radość i umiłowanie:

„Wsi naprzód były ludzkie—nie zamki—kochanie...
Skały, jaskinie, lasy—nie miasta—mieszkanie...“

O upodobaniach swoich pisze Zbylitowski w „Żywocie ślachcica na wsi“ (1597 r.):

„Wolę patrzeć na pługi, kiedy ciągną w pole
y na brony, któremi uprawiaią role,
niż na działa straszliwe, abo nawę zbroyną,
bo te szkody, a owe roskosz dadzą hoyną...

Nie tak przykro, gdy w gumnie tłuką zboże cepy,
abo w iesieni z nożmi chodzą koło rzepy,
iako kiedy puknią z strasznych arkabuzów
y gęby ucinaią, i przydaią guzów...“

W „Fortunnych latach“ wylicza poeta źródła radości życia:

„Myśl wesoła, niestroskana,
serce zdrowe, wiek pogodny,
dni spokoyne, rok niegłodny,
sen smaczny, czyste sumienie,
to szczęście, to dobre mienie...

Ojczysta w cale swoboda,
piękna sława, z bracią zgoda,
sąsiad dobry, wierny sługa,
lichwa niskąd, tylko z pługa,
chleb a żywot bez nagany,
skarb to nieoszacowany!“

W „Kondycji szlacheckiej“ czytamy:

„To moie wszytko klenoty:
dobra myśl, taniec, zaloty.
wieniec na głowie, —
fraszka królowie!
O pompy żadne nie stoię,
maiąc w cale wioskę swoię...“

Dalej zaś:

„Wsi cnotliwa, boday tobie
kwitła sława ku ozdobie!
iam twóy — tyś moia...“

Trudno o piękniejsze, poetyckie wyrażenie nierozerwalnej spójni między duszą poety-ziemianina a ziemią rodzinną.

Zbylitowski, opiewając wiejskie uciechy, nie pomija milczeniem myśliwstwa. W „Żywocie ślachcica na wsi“ (1597), tak mówi o swej łowieckiej namiętności:

„A ieślibych myślistwem chciał się też zabawić,
y w towarzystwo ślicznej Dianie się stawić
rzuciłbym sieci, kędy przy gęstej szelinie
trzymaiąc parę chartów na smyczy w chróścinie...
A gdyby trzeba spuszczać, abo zaiącowi
zaieźdźać, lub iakiemu innemu zwierzowi,
niktby mię nie uprzedził...“

Dotrzymując towarzystwa „ślicznej Dianie“ lubi:

„pokryte
sidła stawiać na ptaki w lesie rozmaite.“...

„...Krogulcem przepiórki gonić...
...abo więc po pagórkach łanie wiatronogie
strzelać z miernej rusznice, abo wieprze srogie.“

Ale ze wszystkich rozkoszy łowieckich najbardziej porywającą jest „myślistwo z ogary“. Jak to miło:

„rozpuściwszy ogary krzykliwe
szczwać niemi liszki chytre lub sarny pierzchliwe...“
„A która tak muzyka ludzi frasobliwych
ucieszyć może, która tak dobrze zabawić
umie y smutnym uszom uciechę naprawić,
iako kiedy napadną na ślad ogarowie,
przełamuiąc za zwierzem w przykrytey dąbrowie
rozlicznie wykrzykuiąc...“

„Ani głośne strony
Phoebowe wdzięczney lutnie, ni głos wyprawiony
nie będzie tak przyiemny, bogiń castaliyskich,
które strzegą potoku wód Acydaliyskich,
iako kiedy psi w gaiu głośno przeławiaią,
rozlicznym głosem prędkie zaiące ścigaią.“

Kto nie słyszał nigdy gonu ogarów w sercu puszczy, ten nie zrozumie tych pięknych wierszy, w których brzmi owo rozkoszne granie „rozlicznych głosów“. Kto zaś był świadkiem takiej muzyki, ten wie, iż „ludziom frasobliwym“ daje ona zapomnienie wszelkich trosk i smutków...

Prof. Stanisław Tarnowski, charakteryzując w I-ym tomie swej „Historji literatury polskiej“ twórczość Zbylitowskiego, pisze między innemi, co następuje:

„Poemat „Żywot szlachcica na wsi“ to rodzaj idyllicznej pochwały, w której szlachcic wysławia swoją błogosławioną mierność, swoje skromne, ale miłe i dostatnie Sabinium, w którem *procul negotiis* i pokus wielkiego świata, Pana Boga chwali i nie obraża, a żyje przyjemnie na ojcowskiej roli, orząc żyzny zagon, ciesząc się swojem bydłem i końmi, polując czasem, bawiąc się rozmową z sąsiadem i chłodząc winem w cieniu drzew, lub

[1]) Nieodżałowanej pamięci Juljan Ejsmond, zmarły tragiczną śmiercią 29 czerwca 1930 r., zostawił u nas w tece niniejszy artykuł. Trudno powiedzieć, czy dyktowała mu entuzjastyczne dla poezji Zbylitowskiego słowa miłość literatury starej, czy też dobywająca się z tej poezji „radość życia“ w umiłowaniach myśliwskich Zbylitowskiego. Dla Ejsmonda bowiem myśliwstwo było poezją życia wiejskiego.

grzejąc się jesienią przy kominie. Słowem dobrze mu jest, rad z tego i opowiada, jak mu dobrze".

Wieś daje ziemianinowi oprócz rozkoszy spokojnego żywota, oprócz uciech sielskich i „pożytki rozmaite". Pożytki owe chwalą wszyscy dawni poeci. Zbylitowski wylicza je w poemacie p. t. „Wieśniak":

„Tobie po lesiech szerokich
y po pagórkach wysokich
chodzą woły utuczone
w gęstą trawę rospuszczone.
Tobie stada owiec białych
po pastwiskach okazałych,
z których ty masz częste wełny
y pastewnik iagniąt pełny,
nabiały także obfite,
y pożytki rozmaite."

„Młyn szumiący, rybne stawy,
y z gaiów częste potrawy...
Tobie miód pczoły zbieraią,
tobie lasy obradzaią,
żołądź szerokie dąbrowy,
tobie rodzi las bukowy,
w którym boginie przed laty
mieszkały y Faun kosmaty..."

Jest w tych wierszach dumna radość gospodarska, wdzięczna szczęśliwość ziemiańska. Lecz Zbylitowski umie patrzeć na przyrodę nietylko okiem gospodarza, jak to czynili przed nim inni poeci. Umie on patrzeć na otaczające go piękno leśne i polne, jako poeta, jako artysta.

Wieś rozmarza duszę Zbylitowskiego:

„Siedząc na wysokim brzegu,
kędy rzeka w bystrym biegu
po twardym płynie kamieniu,
rozmyślałem w chłodnym cieniu
two roskoszy, twe pożytki,
uciechy y wczasy wszytki,
wsi wesoła!..."

W innem miejscu poeta wsi pisze:

„Czasem leżę nad potokiem,
pod klonem czasem szerokiem...
Gdy gorące słońce grzeie,
wietrzyk w cieniu chłodny wieie...
Pastereczki też tymczasem
kwiatki rwą pod gęstym lasem.
Wieńce wiią malowane
różnem kwieciem przeplatane,
to różany, to bluszczowy
kładą na swe piękne głowy..."

Poetyczna dusza Zbylitowskiego napełnia się radością, gdy

„piękny słowiczek nad ciekącym zdroiem
gardłkiem swem wyprawuie y gżegżółka w sadu
miasto lutnie y fletu śpiewa."

Niektóre ustępy „Żywota ślachcica" należą do najpiękniejszych wierszy staropolskich:

„Zasiadłszy z przyiacielem w pachniącym ogrodzie,
w chłodniku przeplatanym, przy strumiennej wodzie,
pod iaworem szerokim, to przy lutni śpiewać,
to w struny bić ucieszne... A każę nalewać
chłodnego wina w czarę..."

„Miasto arfy y fletów y bębnów miedzianych
y krzykliwych kornetów y cyter rzezanych
niechay wdzięczny słowiczek w gęstey topolinie,
gardłkiem swem wyprawuie, niechay w oziminie
skowronek mały krzyczy, niechay iasne zdroie
wdzięcznym szumem spokoynie bawią oczy moie."

Jakże jest młodym ten uskrzydlony i uśmiechnięty wiersz! Polotna pieśń skowronka, szum jasnego zdroju, śpiew słowika „w gęstey topolinie"— czyż to wszystko nie jest nam milsze i bliższe od wrzaskliwego zgiełku arf, fletów, „bębnów miedzianych" i cyter „rzezanych"? A zwłaszcza dziś, w dobie „urbanizmu", który jest zaprzeczeniem „wieśnej" poezji staropolskiej...

JULJAN EJSMOND

Z RÜCKERTA „MĄDROŚCI BRAMINÓW"

Dwa są zwierciadła, kędy w siebie — uśmiechnięte —
Patrzą zwysoka słońce i dusz słońce święte.

Jednem zwierciadłem morze, gdy go wiatr nie wzburzy,
Drugiem zwierciadłem umysł próżen wszelkiej burzy.

Gdy cię zły los nawiedzi, przyjmij go pogodnie, —
Przyjmiesz go źle — on za to gorzej cię ubodnie.

Gdy ci przyjaciel dojmie — przebacz i zważ w sobie,
Że jemu źle, inaczej nie dojąłby tobie.

Gdyć miłość cierniem zrani — kochaj z większą siłą,
Żeś posiadł róże, po tem poznasz, coć zraniło.

Dość jest jeszcze szczęśliwych, choć ciebie ból gniecie,
Choć nie u ciebie — szczęście jeszcze jest na świecie.

A twoją jest — i tej ci nikt zabrać nie zdoła,
Radość, że się radują inni dookoła.

Kiedy w prochu i błocie stopy swoje nurza,
Skądże rumieniec, skądże wonność bierze róża?

Tuż przy niej grzyb wyrosły na tej samej glebie,
Nabrzmiewa jadem, który z mętów chłonie w siebie.

On męt chłonie, duchową treść zaś jej zostawia,
Którą ona w swem wnętrzu w kwiat i woń przetrawia.

Nie bądź jak ziemny grzyb, bądź jak niebieski kwiat,
Chłoń eter w swoją pierś, a nie w wątrobę jad.

Osełka nie ukroi, lecz ostrze szlifuje, —
Zło jest złem, ale na niem cnota się hartuje.

Widzieć, jak trawa rośnie, próżno silisz oko,
Lecz łacno dojrzysz, że już wyrosła wysoko.

W tem czerp ufność. Niejedno tak rąk ludzkich dzieło
Nie widać jako rośnie — naraz skądś się wzięło.

Poezja jest jak złoto, — jeden okruch mały
Wystarczy — by ozłocić nim w okrąg świat cały.

Kto zło czyni — by dobre tem osiągnąć cele,
Czyni jako lekarze czynią truciciele.

Przełożył J. B. K.

NA WIDOWNI

Dyskusja na temat krzesła. — Krzesło i tron. — Wpływ teoryj Le Corbusier'a. — Zasługa „Ładu".

DWAJ przyjaciele moi: wybitny artysta, wychowany w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, jeden z założycieli „Ładu", i młody, utalentowany inżynier - architekt rozprawiali pewnego popołudnia na temat meblarstwa. Stroną atakującą był architekt:

— Meble „Ładu" — zarzucał — nie są konstrukcyjne. Nie są, w samem założeniu swojem, projektowane pod tym właśnie kątem widzenia. Niech pan tylko porówna z niemi jakiś naprawdę nowoczesny, coraz częstsze zastosowanie znajdujący mebel metalowy: jak w nim wszystko jest najczystszą logiką, koniecznością, wynikłą z zasad konstrukcji, jak jest wszystko uzasadnione obliczeniem, by osiągnąć *maximum* praktyczności. „Ład" po dawnemu nie potrafi wyswobodzić się z tradycyj, jego wnętrza dotąd jeszcze są potrosze, jak ów słynny „pokój jadalny p. p. Żeleńskich", wykonany podług rysunków Wyspiańskiego: przypomina pan sobie ten stół i te krzesła, może nawet przyjemne w sylwecie, ale ze stanowiska celowości — ileż w nich rzeczy, logicznie niczem nie umotywowanych, nie podyktowanych ani trwałością ani wygodą, bezsensownych. A przecież k r z e s ł o p o t o j e s t w y ł ą c z n i e i j e d y n i e, ż e b y n a n i e m w y g o d n i e s i e d z i e ć!..

— — — — — — — — — — — —

To ostatnie zdanie wypowiedział tonem szczególnej pewności, jak aksjomat, którego oczywistość przez nikogo nie może być poddawana pod dyskuję. A jednakże to zdanie właśnie najpoważniejsze nastręczać musi wątpliwości. Czemu naprzykład królowie, w najuroczystszych okazjach, nie zasiadają w salach tronowych na czemś w rodzaju foteli dentystycznych, co mogłoby być nader wygodne i hygjeniczne? Czemu nie zasiadają nawet w miękkich fotelach klubowych? Nie wygoda była ideą naczelną, przyświecającą stolarzom - artystom, co robili siedziska monarsze. Nie wystarczało uwydatnić logikę konstrukcyjną mebla, służącego do siedzenia, jego kształt musiał wyrazić coś więcej, coś o wiele bardziej duchowego: musiał uzmysłowić ideję królewskości, majestatu, musiał dać tło należyte osobie władcy, musiał być poniekąd symbolem pojęć, wspomnień, uczuć, które z tronem w psychice zbiorowej się kojarzą. Ale — jakkolwiek osobliwie brzmi zdanie takie w epoce równości demokratycznej i praw jednostki — każdy człowiek bez wyjątku, nawet najnędzniejszy, nosi w sobie coś z chwały Króla, stworzony „na Obraz i Podobieństwo"... I czyż każde krzesełko, nawet najlichsze, nie powinnoby mieć — w tym sensie — czegoś z tronu, czyliż w każdem dziele ręki ludzkiej, choćby najskromniejszem, nie powinien znaleźć się jakiś odblask idei o—królewskiej dostojności człowieczeństwa?..

Różnorodna i bogata jest skala wzruszeń, które artysta wypowiedzieć może sztuką meblarską. Weźmy np. fotel wysoki, wygodny; jak znakomitą ramą może on być dla postaci siwowłosej staruszki, pochylonej nad robótką, ileż jego barwą i kształtem wyrazić da się rozmaitych, przenikających się nawzajem nastrojów: pogody, bezpieczeństwa, tkliwości, życzliwości, powagi... Jak odmienne przeżycie duchowe towarzyszyć musi projektowaniu dwu „mebli, służących do siedzenia": taburetu w pokoju dziecinnym i stalli w presbiterjum katedry!

„Pewniki", głoszone przez mego przyjaciela-architekta, w znacznej mierze wywodzą się z idej, które twórcom współczesnym narzucił budowniczy francuski, Le Corbusier - Saugnier, autor książki „*Vers une architecture*" i paru innych. Rzecz ciekawa, iż plastycy właśnie nie zorjentowali się w tem wypadku w fakcie, że wielkość i wpływ Le Corbusier'a, uzasadnienie swe znajdują nie w talencie architekta, ale pisarza: jego styl literacki, dowcip, werwa, suggestywność formuły i jasność wykładu shołdowały mu wyznawców i wielbicieli, urzeczywistniających jego teorje i przejmujących upodobania. Taksamo rola np. Witkiewicza albo Ruskina w ruchu artystycznym ich epoki nie wypływała z ich twórczości jako plastyków, lecz przedewszystkiem ze świetności niepospolitej ich pióra. Oddziaływanie Le Corbusier'a nie było tego rodzaju, jak np. twórców wcześniejszych katedr gotyckich na swych następców: nie dzieło architektoniczne budziło tutaj zachwyt i zachęcało do naśladownictwa, ale raczej szacunek dla teoretyka wywoływał zainteresowanie konkretnemi, wzno-zonemi przez niego budowlami.

Warunki dla szerzenia się idej Le Corbusier'a były zresztą szczególnie pomyślne Po pierwsze, „nowinki" swe począł apostołować w momencie, gdy „ortodoksja" architektury oficjalnej zwyrodniała w bezduszne powtarzanie formuł, wyzutych z wiary, pozbawionych wszelkiej treści wewnętrznej, martwych i wulgarnych, kiedy (objaśniając rzecz przykładowo) gotyk krakowskiej Panny Marji zastąpiony został „gotykiem" warszawskiego Św. Florjana. Powtóre, koncepcja Le Corbusier'a w istocie swej nie jest fałszem, lecz raczej prawdą j e d n o s t r o n n ą, u p r o s z c z e n i e m, położeniem nacisku na stwierdzenia, słuszne w wielu wypadkach, ale cząstkowe i wyprowadzeniem stąd następnie całkowitego, logicznie uporządkowanego systematu. Umysł autora „*Vers une architecture*" uderzony został odkryciem, że w domu się mieszka, że na krześle się siedzi, i z tych faktów, nie dających się zaprzeczyć, wywiódł teorję, iż „dom — to maszyna do mieszkania", krzesło — maszyna do siedzenia i t. p.; stąd i jego postulat logiczny, by, jak w dobrze zbudowanej maszynie, każdy szczegół odpowiadał praktycznemu celowi, by usunąć wszystko, co niepotrzebne, osiągnąć doskonałość precyzyjnego mechanizmu. Niewiele pomogło tu, iż sam Le Corbusier zdawał sobie, mimo wszystko, sprawę, że architektura jest czemś więcej, niż użytecznością, że — jak wyraził się — „nic w budownictwie ziemi całej i wszystkich czasów nie dorówna" pięknu Fidjaszowego Parthenonu. Łatwo wyobrazić sobie, czem — zwłaszcza dla umysłów prymitywniejszych, — w dobie daleko posuniętego zmaterjalizowania, stały się formuły francuskiego pisarza i jego entuzjazmy dla techniki, dla idei „domów, seryjnie budowanych"...

Jestem gorącym zwolennikiem „Ładu" nie dlatego bynajmniej, żeby przeciwstawił się tym teorjom, ale że im nie uległ bezkrytycznie, że jest wyrazem nie jakichś pomysłów sztucznych, doktrynerskich, ale żywej, prawowitej twórczości. Artysta nie ogranicza się do myślowych czysto kombinacyj, nie rozwiązuje intelektualnych wyłącznie zagadnień, ale w dziele

swojem musi wypowiedzieć się integralnie, jak człowiek całkowity, „spowiada się“ w niem (używając wyrażenia norwidowskiego), kładzie piętno własnej osobowości. Stąd atmosfera, jaką stwarzają niektóre wnętrza „Ładu“, dająca przeżycia artystyczne o wiele wyższego rzędu, aniżeli estetyczna przyjemność oglądania logicznie skonstruowanej maszyny.

A praktyczność? Ta, jak słusznie stwierdził autor „Promethidiona“ z pięknem nader ściśle bywa związana, ale, zdaje się, i tutaj obowiązują prawa balistyki, że należy mierzyć nieco wyżej, jeżeli się ma trafić do celu. I nie stworzy naprawdę przyjemnego mieszkania człowiek, który niczego więcej, ponad tylko wygodę i praktyczność, ogarnąć swym duchem nie potrafi.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ORYGINALNE ZADANIE miał do spełnienia niedawno Związek Narodowy Studentów Angielskich. Oto, na życzenie ambasady polskiej w Londynie, wyprosić miał przedstawicieli polskiej młodzieży akademickiej z... Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C. I. E.).

Jakże doszło do takiej sytuacji? Piszący te słowa uczestniczył w pierwszym zjeździe międzynarodowym, zorganizowanym przez angielski związek studentów w r. 1923, i przywykł przeglądać z zainteresowaniem wychodzące kwartalnie pismo „*The New University*“, będące organem związku i informujące o jego działalności. Nie przypomina sobie jednak, aby kiedykolwiek związkowi angielskiemu wypadło podjąć zadanie tak dziwne.

Pan Follows, obecny prezes związku, jako działacz na terenie „akademickim“ stosunkowo młody, odebrawszy pismo ambasady polskiej w Londynie, prawdopodobnie nie dziwił się położonemu pod niem podpisowi. A może zresztą przypomniał sobie, że to nazwisko ... jednego z dawnych przedstawicieli Polski w C. I. E. W każdym razie napewno namyślać się musiał długo, jak postąpić. Pismo zawierało bowiem prośbę, aby związek angielski postarał się usunąć reprezentację polską z C. I. E. „Załatwienie“ tej prośby wymagało niewątpliwie całego angielskiego taktu. Jak tu nie zastosować się do uprzejmej propozycji ambasady? Z drugiej strony, co począć wobec kolegów, których zna się oddawna jako czynnych członków Konfederacji, i wobec których żywi się uczucia — koleżeńskie? Dodać można, że nastroje polskiej młodzieży akademickiej są kierownikom związku angielskiego, którzy zresztą nieraz Polskę odwiedzali — znane dobrze. Nie mogło być wątpliwości, że delegaci polscy do C. I. E. istotnie reprezentują opinję większości polskiej młodzieży na uniwersytetach. Jakże delikatna była misja, powierzona przez polskie M.S.Z. związkowi angielskiemu! Miał do wyboru: zlekceważyć dyplomację polską, albo polskich kolegów.

Z kłopotu wybrnął jednak. Na zebraniu Rady Administracyjnej C. I. E. przed tygodniem Anglja postawiła żądany wniosek — ale za wnioskiem tym nie głosowała. Wniosek upadł, nie uzyskawszy poparcia niczyjego.

Przedstawiciele angielscy w C. I. E., opuszczając Brukselę i winszując sobie taktu, wśród innych wspomnień wynieść musieli także podziw dla zręcznych metod dyplomacji polskiej...

ZAGLĄDAJĄC do kawiarni IPS-u, albo wyprawiając się na święta do Popowa nad Bugiem, Warszawiak widzi, jak Judeopolska w oczach ginie. Miejsce jej coraz raźniej zajmuje Judea.

Ewolucja to znamienna: Judeopolska ginie i nie da się już uratować. Warto się sentymentalnie zastanowić nad jej krótkiemi dziejami. Zacznijmy od samej nazwy. Termin „Judeopolska“ ukuto jakie lat temu dziesięć — czy nie na łamach małego wówczas tygodniczka: „Myśl Narodowa“? Wymyślono go poto, żeby straszyć. Nikt nie spodziewał się wówczas, że żydzi znajdą tak przychylne warunki, iż wkrótce nawet dla kompromisowej „Judeopolski“ w różnych dziedzinach życia miejsca nie zostawią. Postępy uczynili tak szybkie, że termin przestarzał się nad wszelkie spodziewanie prędko. Używają go jeszcze nieuważni antysemici. Ale jest nieaktualny. Ci, co znają letniska podwarszawskie z przed lat kilku, pamiętają jeszcze Judeopolskę, dziś jest ona przecież tylko wspomnieniem. I tylko ci, co odwiedzili kawiarnię IPS-u w pierwszych dniach po otwarciu, przypomnieć sobie mogą te czasy, kiedy aryjczycy nie byli tam małą mniejszością. W „Judeopolsce“ kulturalnej mniejszość stanowili żydzi, dziś tam mniejszością, często drobną, są Polacy.

Nie tu miejce zastanawiać się nad przyczynami, które umożliwiły podobną inwazję żydostwa wewnątrz polskiego społeczeństwa. Żeby je zrozumieć, trzebaby uwydatnić całą dziwaczność polityki, która w inwazji tej widzi tylko wzmocnienie polskiej „państwowości“. Ale w dziwaczności tej szukać też trzeba będzie wytłumaczenia dziwnego końca ewolucji, jaki rokować jej należy. Poprostu: ewolucja się przerwie. Odżydzenie życia kulturalnego nie będzie postępowało tak stopniowo, jak zażydzenienie. Nie będzie tak, że coraz mniej będzie ogłoszeń żydowskich w pismach polskich, coraz mniej będzie popularna Muza żydowska, coraz rzadsi żydzi w dyplomacji, coraz nieliczniejsi w adwokaturze, i pomału coraz egzotyczniejsi na uniwersytetach... Nie: proces dokona się inaczej. Judeopolska ginie dzisiaj, ustępując miejsca Judei. Lecz nie powróci. Odrazu następnem stadjum będzie: Polska.

FRAZES o zanieczyszczeniu sztuki rodzimej przez pierwiastki pochodzenia żydowskiego jest bezwątpienia wśród frazesów endeckich jednym z najbardziej wytartych. Jego demagogiczny charakter znany jest dobrze. Wiadomo też, jak mało ma on wspólnego ze zrozumieniem istoty sztuki. Dlatego szczególnie odświeżające wrażenie sprawia, skreślony piórem lirnika mazowieckiego, — przytoczony nie z ostatniego numeru „Gazety Warszawskiej“, lecz z listu prywatnego poety z r. 1877. Oto co pisze w nim Lenartowicz do Felicjana Faleńskiego (Znajdujemy to w „Ruchu Literackim“ z grudnia r. z.):

„We Lwowie przynajmniej odezwały się głosy niepodległe, ale Warszawa i Kraków świetnie się popisują.

Do czego się weźmiesz, każdą robotę psują ci w ręku nasi chochlikowie zabawni, literaty żydowskiej szkoły, i żydowskiej szkoły artyści, no, ale

nil desperandum, odnajdziemy się kiedyś, nie strawią nas, a prawda zawsze jak oliwa popłynie wierzchem".

Czytając to, ze wstydem myślimy, że doprawdy nie zdawaliśmy sobie sprawy z takiego zażydzenia literatury polskiej już w r. 1877. Prawie sześćdziesiąt lat temu. Mimowoli ciśnie się pytanie: cóżby poeta powiedział dzisiaj? Obawiamy się, że zostałby odrazu jednym najodynarniejszych krzykaczy endeckich. I bardzo prędko w kołach „miarodajnych" krytyków literackich ustaliłby swoją opinję wierszopisa bez talentu. — Przed kilku miesiącami na tem miejscu proponowaliśmy założenie towarzystwa, mającego na celu oczyszczenie pejzażu mazowieckich piasków z napływającego wciąż ruchomego elementu żydowskiego. Towarzystwo miało być imienia mazowieckiego lirnika. Wybór patrona był trafny; ale któż mógł wtedy przypuszczać, że patron ów tak dalece wyprzedził swoją epokę zrozumieniem całej obcości żydowskiego pierwiastka? Że stać go było na bezmyślny frazes endecki już sześćdziesiąt bezmała lat temu? Ktoby to myślał? „A prawda zawsze jak oliwa popłynie wierzchem"...

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pod redakcją Zygmunta Wieliczki, a nakładem Tow. badań nad historją Powstania Wielkopolskiego ukazała się bardzo cenna książka p. t.: „Szkice i fragmenty z Powstania Wielkopolskiego 1918 — 19 r." (Poznań 1933. Str. 200).

Książka przynosi osiem artykułów wybitnych uczestników powstania (Tadeusza Fenrycha, Feliksa Kasprzaka, Ignacego hr. Mielżyńskiego, Kazimierza Siudowskiego, Antoniego Słodowego, dr. Bernarda Śliwińskiego, dr. Andrzeja Wojtkowskiego i Feliksa Zielińskiego), zawierających ich wspomnienia, dotyczące poszczególnych fragmentów akcji powstańczej (na froncie północnym, w Ostrowie, w Chełmży, w Czarnkowie, pod Ościaną, na Kujawach i t. d.), oraz akcji poznańskiego oddziału, wysłanego na odsiecz Lwowa.

Jest to niezwykle krzepiąca lektura. Z zawartych w książce opisów, dających pochwycony na gorąco obraz rozwijającego się stopniowo ruchu powstańczego, widoczne jest, jak dalece żywiołowem i z najgłębszych podstaw narodowego instynktu biorącem swój początek zjawiskiem było powstanie wielkopolskie. W początkach akcji powstańczej w każdej miejscowości trudno jest się poprostu nawet zorjentować, gdzie jest granica między armją powstańczą, a polską ludnością cywilną; dookoła drobnych grupek stałych uczestników akcji skupiają się, w miarę potrzeby, gromady chwilowych ochotników, którzy, gdy potrzeba ta mija, rozchodzą się z powrotem do domów. Oddziały powstańcze rosną w okresach walk, — topnieją w okresach ciszy. Poprostu, — ludność Wielkopolski walczy z wrogiem, nieraz w dosłownem znaczeniu broniąc swoich własnych progów; dopiero stopniowo wyłania z pośród siebie, jako czynnik stały, regularną armję powstańczą, opartą na trwałych zasadach organizacji, dyscyplinie i przysiędze. Powstanie Wielkopolskie — tak samo jak obrona Lwowa — to poryw żywiołowy, w którym wola i inicjatywa czynników kierowniczych odgrywa tylko rolę jądra krystalizacyjnego. Trudno o lepszy dowód nad szczegółowy opis wydarzeń tego typu, na to, że niepodległość Polski jest wspólnem, choć przez głęboką myśl polityczną paru tylko umysłów kierowanem dziełem całego, dojrzałego politycznie i świadomego swych celów narodu. (J. G.)

*

Nakładem „Głos Prawosławia" w Tomaszowie Lubelskim ukazał się „Kalendarz Prawosławny" na rok 1934, wydany w języku polskim. Kalendarz ten przeznaczony jest w zasadzie dla mówiącego po polsku odłamu ludności prawosławnej Chełmszczyzny, — byłoby jednak wskazane, by zdobył on sobie poczytność również i śród innych grup ludności prawosławnej w Polsce, na całym obszarze kresów, gdzie, jak wiadomo, coraz częstszem zjawiskiem są (w młodem pokoleniu) ludzie, dla których językiem użytku potocznego jest narzecze ruskie czy białoruskie, ale którzy czytać umieją już tylko po polsku. Byłby to bardzo pożądany objaw, gdyby polszczyzna jako język książkowy czyniła śród tej ludności dalsze postępy. Wydawcom kalendarza życzyć należy, by wydawnictwo ich — miejmy nadzieję, że w następnych latach ponawiane, — zdobyło sobie na całym obszarze kresów jaknajwiększe powodzenie.

Kalendarz, prócz *calendarium*, działu porad gospodarskich i t. p. zawiera szereg artykułów treści religijnej i patrjotycznej, informacje o życiu cerkwi prawosławnej w Polsce i innych krajach (wraz z portretami biskupów prawosławnych w Polsce i fotografjami główniejszych cerkwi), informacje o urzędach i t. p. Kalendarz ozdobiony jest przeznaczonemi do wycięcia i oprawienia w ramki, starannie na dobrym papierze odbitemi portretami metropolity Djonizego, oraz prezydenta Mościckiego i min. Piłsudskiego. Kalendarz zaopatrzony jest w kopję listu synodu kościoła prawosławnego, odgrywającą rolę „*Nihil obstat*".

Jedną tylko rzecz należy wydawcom kalendarza wytknąć: święto narodowe jest 3 maja, a nie 11 listopada. (J. G.)

*

Stanisław Miklaszewski w książce „Izby Rolnicze, Zarys Rozwoju Samorządu Rolniczego w Europie Współczesnej, Nowe Prawo o Izbach Rolniczych", (wydanej nakładem organizacyj rolniczych R. P., skład główny w Księgarni Rolniczej w Warszawie), omawia znaczenie tych instytucyj. U nas jedynie w dzielnicy zachodniej stosunki organizacyjne w rolnictwie stoją na poziomie krajów zachodnio-europejskich, natomiast w Kongresówce i województwach wschodnich bardzo drobny tylko odsetek rolników jest zrzeszony w organizacjach zawodowych. Autor przedstawia w ogólnych zarysach stan tych spraw w krajach, posiadających starsze i bogatsze od nas doświadczenie. Okazuje się, że klasycznym krajem samorządu rolniczego były przed wojną i dziś są Niemcy, a wpływ izb rolniczych w innych państwach coraz wzrasta. Planowo zróżniczkowana jest praca tych instytucyj na Węgrzech, gdzie komisje rolnicze poświęcają pracę dziedzinom praktycznym, dotyczącym uprawy, stosowania nawozów, używaniu odpowiedniego ziarna do siewu, hodowli zwierząt, drobiu, mleczarstwu, kształtowaniu się cen i zarządzeń władz lokalnych. Natomiast izby rolnicze mają na widoku cele o charakterze ogólnym, dbałość o wykształcenie sił fachowych, tworzenie laboratorjów gleboznawczych, gospodarstw doświadczalnych, stacyj agrometeorologicznych i t. d. U nas izby rolnicze działają na polu podniesienia techniki produkcji rolniczej i hodowlanej, ulepszenia gospodarki leśnej, meljoracji oraz oświaty rolniczej, i nie ustają w pracy nawet w obecnych warunkach. Autor omawia te kwestje rzeczowo i przystępnie wskazuje korzyści zrzeszania się, i na końcu książki zamieszcza tekst rozporządzenia, które Izbom Rolniczym ma nadać charakter jednolity. (A. W.)

TEATR

SHAW: NIGDY NIC NIE WIADOMO

JESZCZE się na świecie nie wszystko odmieniło, skoro teatry z takiem upodobaniem wracają do starych sztuk przedwojennych. Miło bowiem wspominać czasy beztroskie, kiedy na teatr nie waliły się ciężkie zagadnienia byt[u] i autorowie zabawiali publiczność kwestyjkami obyczajowemi podpatrzonemi w zamożnych domach rentjerów.

Do takich sztuk należy wystawiona teraz w teatrze Narodowym komedja Shawa z końca XIX wieku pt. „Nigdy nic nie wiadomo". Pisarz ten uchodził za radykała, pozwalał bowiem sobie podrwiwać z „protokułu" lordów i kapitalistów, pielęgnującego stary obyczaj domowy. W tej komedji, którą teraz wystawiono, wywrotowość Shawa wydaje się niewinną igraszką przekornego „burżuja", który postanowił na drwinach zrobić karjerę.

Zgodzono się już w Anglji przed wojną na pewne w obyczajach reformy; dzisiaj zagadnienia Shawa są przebrzmiałe. Wszakże młodość sztuce zapewnia pierwiastek poetycki, Shaw bowiem jest także poetą. Temu pierwiastkowi zawdzięcza karjerę. Poetyckie widzenie Shawa polega na tem, że stawia w grze życia, bez obawy ryzyka, na siły irracjonalne w naturze człowieka, mianowicie na instynkt

zdrowie, bujność żywotną, na t. zw. dobrą naturę. Więcej ma zaufania do rozumu instynktów, niż do instynktu rozumów. Dla tego właśnie, „nigdy nic nie wiadomo“; kobiety i młodzież okazują się mądrzejsze od starych mężczyzn, a z mężczyzn mądrzejsi ci, którzy nic nie robią, bo nie utknęli w rutynie. Shaw dał tutaj kilka wzorów, choćby taki mądry kelner, bo prostoduszny, i przeciwieństwo jego — syn rodzony, wykształcony adwokat; tego autor wystawił niemiłosiernie na drwiny. Staremu ojcu, który był wyrzekł się rodziny z powodu jej złych rzekomo obyczajów, Shaw każe budzić w sobie prosty instynkt ojcowski i właśnie patrzymy przez cztery akty, jak ten instynkt wyłamuje w nim kości rutyny i racjonalizmu.

Komedja zręczna i zabawna — i bardzo ładnie w Warszawie zagrana. P. Zygmunt Chmielewski okazał się bardzo dobrym aktorem w roli starego, wziętego na tortury nowych czasów. O Maszyńskim, jako kelnerze, nie trzeba mówić, bo to artysta niezawodny. Wesołowski i Roland świetnie reprezentowali młodość męską. Trzy panie: Jarszewska, Lubieńska i Jarkowska — również pierwsza klasa. Taka wesoła p. Jarkowska jest cenną rzadkością w teatrach. Scenę urządzali do spółki pp. Węgierkowie: mąż jako reżyser, a pani jako dekoratorka. Zrobili rzecz ładną, może w dekoracji zbyt słodką— sceny były jak bombonierki. Ale miłe to było dla oka i usprawiedliwione tem, że rzecz dzieje się na południu, gdzie wiele słońca. Shaw jest też słoneczny po swojemu, po angielsku.

Z. W.

„CZWARTY DO BRYDŻA“
A. GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

PRZEDSTAWIENIE nowej komedji p. Adama Grzymały Siedleckiego pod tytułem „Czwarty do brydża“ granej obecnie w Teatrze Nowym (w Salach Redutowych) przypomniało nam najświetniejsze widowiska z czasów Reduty. Bardzo dawno nie mieliśmy okazji oglądać na scenach warszawskich sztuki tak dobrze napisanej i tak dobrze zrealizowanej scenicznie. „Czwarty do brydża“ jest komedją, podszytą dramatem, którego pierwsza część rozegrała się przed dwudziestu laty: Władysław Denhell nałogowy donżuan z warszawskiej burżuazji uwiódł żonę pewnego inżyniera, bardzo ją kochającego, który wskutek tego moralnego ciosu wyemigrował z malutkim synkiem do Szanghaju. Denhell unieszczęśliwił swym romansem — własną żonę, która go porzuciła, zabierając ze sobą córeczkę. Zarówno kochanka jak i żona Denhella poumierały. Po śmierci matki panna Kamila Denhellówna wróciła do ojca. Minęło lat dwadzieścia. W chwili, gdy komedja się rozpoczyna, panna Kamila jest studentką medycyny na uniwersytecie warszawskim. A oto treść komedji: Pewnej środy, popołudniu Władysław Denhell podstarzały już mocno filister otrzymuje bolesny cios — w ambicję. Pod nieobecność córki pozwolił sobie pocałować u siebie w domu jej koleżankę, która przyszła ją odwiedzić. Dziewczyna odwzajemniła mu się pocałunkiem w rękę. Ze względu na siwe włosy. Nie dosyć na tem. Okazuje się, że cotygodniowa partyjka brydża, do którego pan Denhell jest bardzo przywiązany, nie może się odbyć tej środy, ponieważ jeden ze stałych partnerów jest wieczorem zajęty cios ten jest bodajże boleśniejszy od tego, który go spotkał poprzednio. Denhell nie jest w stanie obyć się bez swojego brydża. Zjawia się jego córka, Kamila. Wróciła przed chwilą z Leśnej Podkowy. Jest rozpromieniona. Zaręczyła się właśnie z asystentem swego profesora, młodym chirurgiem, który nazywa się Bobby Swan i pochodzi z dalekiej Kanady. Przyjechał do Polski, ponieważ jest z pochodzenia Polakiem, aczkolwiek nosi nazwisko cudzoziemskie. Kamila proponuje ojcu, żeby zaprosić telefonem narzeczonego jako... czwartego do brydża. Na tem kończy się pierwszy akt komedji i równocześnie rozpoczyna się dramatu część druga. Okazuje się, że Bobby Swan jest rodzonym synem owego inżyniera, którego niegdyś skrzywdził Denhell, odbierając mu żonę. O matce chłopiec słyszał bardzo niewiele. Nie wiedział również dlaczego ojciec jego zmienił nazwisko i wyemigrował z Polski. Ta zagadka skłoniła młodego chirurga, żeby wrócić do kraju. Pragnie on rozświetlić tajemnicę. Lęka się bowiem, że ojciec jego, którego uwielbia, miał na sumieniu jakąś ciemną plamę, jakąś krzywdę ludzką, którą za wszelką cenę gotów jest okupić.

Egoista Denhel, zamiast miłego wieczoru, który sobie obiecywał — przeżywa noc czyśćcową. Razem z nim przeżywają moralną torturę oboje narzeczeni. W akcie drugim dowiaduje się całej prawdy Bobby, w akcie trzecim Kamila. Siedlecki po mistrzowsku stopniuje dramatyczność sytuacyj zanim po szeregu wybornie skonstruowanych scen tragicznych — rozwiązuje konflikt komedjowo. Podziwiamy równocześnie w tej sztuce mistrzowstwa techniczne, wirtuozerję konstrukcyjną wytrawnego komedjopisarza oraz rzecz daleko ważniejszą: wspaniały rysunek charakterów bardzo rozmaitych, zdolność tworzenia postaci w każdym calu żywych, tętniących krwią, nie mających w sobie cienia konwencjonalności literackiej. Zachwyca nas wreszcie mądrość autora, jego ustosunkowanie się do zagadnień moralnych, czysty klimat jego sztuki. Adam Grzymała-Siedlecki nie ma ani odrobiny sentymentu dla Denhella. Oświetla bezlitośnie wszystkie skazy tego przestawiciela zgniłej przeszłości. Całą sympatją darzy Siedlecki natomiast przedstawicieli pokolenia młodego, umie na zagadnienia moralne oczyma tego właśnie pokolenia patrzeć. Niewielu, bardzo niewielu jest w Polsce komedjopisarzy, którzy to potrafią. Możnaby ich policzyć na palcach jednej ręki.

Jest w sztuce Siedleckiego jedna jeszcze postać: pan Cyprjan, przyjaciel Dennhella i ojciec chrzestny Kamili. Człowiek ten kochał się w jej matce. Miłości tej jednak nigdy jej nie wyjawił, ponieważ była żoną jego przyjaciela. Postać ta jest najpiękniejszą postacią w sztuce, choć odgrywa rolę drugoplanową.

W przedstawieniu biorą udział pp. Antoni Różycki Romana Jezierska, Michał Znicz, Zbigniew Ziembiński i Aniela Tarnowiczówna. Cały ten zespół gra koncertowo. Wszyscy aktorzy zasługują w równej mierze na najgorętsze komplementy, gdyż każdy z nich dał z siebie *maximum* artystycznego wysiłku.

ZASTĘPCA

ZE ŚWIATA SZTUKI

TRUDNO zrozumieć, na jakich fundamentach chcieli oprzeć legjoniści-plastycy budowę swej wystawy. Można ją było wtłoczyć bez trudu w ramy wystaw „na temat“ i nazwać np. „Legjony w malarstwie współczesnem“. W ten sposób zorganizowana, mogłaby wykazać przynajmniej stopień zainteresowania naszych plastyków historją i czynem legjonów. Można było także określić jeszcze wyraźniej warunki uczestniczenia w wystawie, przez ograniczenie nietylko tematu dzieł, ale pewien wybór wystawców, w danym wypadku wyłącznie b. legjonistów. Nie przesądzając efektu takiej imprezy, mielibyśmy chociaż pokaz o charakterze jednolitym i logicznym.

Niestety, organizatorzy myśleli tylko o zgromadzeniu jaknajwiększej ilości prac, apetyt odwrócił nieraz uwagę od smaku samej potrawy i powodów częstowania nią.

Gdy dzieło jest pełne zalet i odpowiada tematowi, np. „Teka legjonowa” Wyczółkowskiego, chętnie rezygnujemy z dociekań jaki był stosunek jego autora do legjonów; przeświadczenie o patrjotyzmie i dzielności młodego ułana — malarza nie budzi w nas jednak entuzjazmu dla jego domorosłych wyczynów piórkowych. Ten rodzaj dzieł, wydatnie obniżający poziom wystawy, ma chociaż jedno, słabe usprawiedliwienie: odpowiedni temat.

Ale co u licha robią tu b. słabe, częstokroć zupełnie paskudne obrazki i obrazidła, n i c z e m nie związane z tematem, robione w dodatku przez ludzi, przy których nazwiskach nie znajdujemy w katalogu żadnej wzmianki, w rodzaju: 2 P. Uł., 4 P. P. i t. d. (Skotnicki, Wodzinowski). A może to tak zwani członkowie-sympatycy?

Nie widzimy również powodu umieszczania na takiej wystawie rozmaitych „martwych natur",

pejzaży, aktów i t. p. Że autorzy tych prac byli, w swoim czasie, legjonistami? Dobrze, ale czy to się ujawnia w jakikolwiek sposób w ich utworach? Sam wiceprezes IPS-u, generał i malarz w jednej osobie, nie rozwiąże tej zagadki. Jeszcze jedno: skoro idea i czyn legjonów są wam drogie, a jednocześnie jesteście plastykami, panowie legjoniści, dziwi mnie to, że zamiast wypowiadać swe umiłowanie przedewszystkiem, w plastyce zwracacie się chętniej ku dzbankom, śledziom, brukwi i damskim pośladkom.

Istotną i najbardziej wartościową część wystawy stanowią szkice, notatki i studja, wykonane przez plastyków-żołnierzy, w polu, „na gorąco". Te prace szczere, bezpretensjonalne i bezpośrednie, robione bez wielkich ambicyj artystycznych, staną się z czasem (i są już potrosze) dokumentem ważnej chwili, żywym, ciekawym, o całkiem swoistym uroku.

Wydany katalog, raczej dziwaczny, niż udatny w układzie, źle jest przygotowany do pełnienia roli przewodnika po wystawie. W salach wystawowych, pod pracami, jak wiadomo, umieszcza się numerki. Ten sam numer, przy nazwisku artysty w katalogu, stwierdza autorstwo dzieła. Cyfra więc powinna być w spisie uwidoczniona wyraźnie i łatwa do odnalezienia. Tymczasem w katalogu wystawy legjonowej odnajdujemy je z trudem, schowane w dwurzędzie, umieszczonym w przegubie książki i do tego jeszcze drobnym drukiem!

A robili przecież katalog dwaj „moderniści" (wespół z Lenartem), ludzie, którzy tak dużo lubią mówić o przejrzystej logice i celowej użyteczności swych koncepcyj plastycznych.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. Narodzenie Chrystusa jest Tajemnicą Radosną: nawet fakt Zmartwychwstania nie przejawia się w uczuciach ludzkich tak dobitnie; przyjmujemy go z całem zadziwieniem, czujemy pełnię chwały, lecz w pieśniach o Nim tkwi osad pokutnych gorzkich żalów i pamięć niedawnego jeszcze, triumfalnego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, po którym nastąpiła Męka.

Zato święta Bożego Narodzenia są aż przepojone radością, której, jakże charakterystycznym wyrazem są kolendy, jeden z najciekawszych dokumentów naszej kultury. Podawane ustnie z pokolenia w pokolenie, czekają na swoich badaczy, którzyby się niemi zajęli tak, jak na to zasługują.

Objawem dyletantyzmu jest np. patrzenie na nie ze stanowiska jedynie ludowości, tak jak gdyby wyszły one wszystkie z pod strzechy. Ileż z nich zawędrowało właśnie pod nie, czy to z kościołów, dworów, pańskich pałaców, czy nawet zamku królewskiego! Przerabianie kolend na kolędziołki wcale nie rozwiązuje kwestji. Przeciwnie—wprowadza nawet zamieszanie.

Chętnie się dzisiaj prymitywizuje. Niewątpliwie—jest to w pewnej mierze jeszcze pozostałość owej „ludowości" z przed lat trzydziestu, ale też i objaw dzisiejszego usiłowania znalezienia jaknajmocniejszego wyrazu, który cechuje tak bezpośrednią sztukę ludową. Nieporozumienie tkwi w tem, że formą jedynie chce się znaleźć ten wyraz, którego ona była przejawem. Niemniej sama tendencja, podświadoma zresztą, jest objawem zdrowym; doprowadzi wkońcu do sedna rzeczy (przykładem chociażby, w muzyce rosyjskiej, Strawiński).

Kolendy układano wszędzie. Pierwszem źródłem był Kościół. W tych tkwi i wybija się na czoło pierwiastek chwały, w przeciwstawieniu do kolend o świeckiem pochodzeniu, które dają upust radości, niosąc do stajenki wszystko, co tylko kto miał najlepszego, aż do tych „dobrych chęci", które niósł biedak „nie mając co Panu dać."

Różne źródła tekstów, ciekawie nieraz odzwierciadlające miejsce i epokę, w których powstały, lub dające świadectwo autorom (Karpińskiego pierwsza strofka kolendy „Bóg się rodzi", utwór o nieprzeciętnej wartości literackiej, oddający przez zestawienie sprzeczności, usprawiedliwionych jedynie chwilą Narodzenia Boga, ogrom wielkości tej chwili), czekają dzisiaj jako pole do badań.

To samo ma się i z melodjami tekstów. Wyszukanie ich we właściwej formie—to zadanie trudne, ale i wdzięczne. Zadanie, które czeka.

Weźmy np. stwierdzoną niejednokrotnie formę poloneza, która dzięki bogactwu rytmiki i melodyki zapanowała powszechnie w wieku XVIII-tym i to nietylko w Polsce, ale i poza jej granicami, szczególnie w Niemczech (Friedemann Bach).

Zadanie więc czeka. Na tle studjów nad dawną muzyką, zasobnych już dzisiaj w duże wyniki. I nie mało czasu zabierze. Zanim jednak usłyszymy kolendy istotnie odtworzone w najcharakterystyczniejszej formie, zawsze ich chętnie i teraz słuchać będziemy, nawet w postaci nieco zniekształconej.

Wykonawcami sobotniego koncertu były chóry: świętokrzyski, cecyljański i Akademickiego Koła Muzycznego, wraz z orkiestrą Filharmonji.

Prowadzenie tak wielkiej masy, władanie i kierowanie nią dać mogło i dawało duże efekty, jak np. *fortissimo* jednej z kolend, oddające wielką chwilę, w której stare słowa kazały „bić w kotły", ale miało i swoje słabe strony—nie pozwalało na należyte opanowanie chóru, wydobycie tej precyzji, jaka jest niezbędna dla podkreślania pierwiastka tkliwości, dominującej w wielu kolendach.

Bo święto Bożego Narodzenia jest świętem rodziny, świętem kobiety w jej najistotniejszym przejawie — macierzyństwie. Tkliwość ta, na jaką stać tylko matkę w stosunku do nowonarodzonego dziecka, i jaką my na ich widok odczuwamy, stanowi jedną z najsilniejszych cech pieśni kolendowych, tak, że nietylko czasami tłumi pełne niebieskiej chwały głosy anielskie, ale każe uciszyć się pospolitej, ludzkiej radości, której objawy nieraz nietylko mogły przestraszyć Dzieciątko, lecz nawet i starego Józefa, który:

„...już uciekać myśli
ale drudzy przyszli..."

Zasadniczą też właśnie i charakterystyczną dla polskich kolend jest ich rubaszność, zdrowa, tęga rubaszność, niełatwa do uchwycenia, a której owo kolędziołkowanie nietylko, że nie oddaje, ale ją po prostu wypacza. Sekret wydobycia jej tkwi poprostu w szczerem, radosnem śpiewaniu.

Na poranku sobotnim chóry i orkiestrę prowadził p. Jan Maklakiewicz. Jego też układu (w przeważnej części) były wykonywane kolendy.

Partje solowe wykonali p. Helena Azarewiczówna, pp. Ignacy Dygas i Józef Korolkiewicz. Przy organach pp. Jan Pasierb i Eugenjusz Langer.

W. NARUSZ

FILM

STYLOWY: „Brat-Djabeł", film amerykański.

Film osnuto na tle opery Aubera p. t. „*Fra-Diavolo*". Z opery zaczerpnięto podkład muzyczny całości, arje głównej postaci, „brata-djabła" (Denis Kinga) i skopjowano sceny zbiorowe, łącznie z teatralnemi dekoracjami (to ostatnie niewiadomo poco). Przeróbka oczywiście jest b. dowolna, gdyż na całej przestrzeni filmu wyczyniają przedziwne hocki-klocki i są jego głównym magnesem dwaj świetni komicy, popularni u nas pod nazwą: Flip i Flap (Oliwer Hardy i Stan Laurel). Kto obserwował tą parę uważniej, stwierdził niewątpliwy rodowód Laurela: w prostej linji od klowna cyrkowego. Wyrobił on sobie typ i sylwetkę postaci, niesłychanie uproszczoną i zwartą i w tem ograniczeniu tembardziej wyrazistą.

Filozofowie nieraz zajmowali się zagadnieniem komizmu i określeniem jego istoty; mam wrażenie, iż komicy, w rodzaju Flipa i Flapa, znają dobrze tą tajemnicę, w każdym razie właśnie myśliciele w swych rozważaniach nieraz powoływali się na podobny typ komika, na tym przykładzie dokonywając analizy komizmu.

W tej parze grubas jest oczywiście uzupełnieniem głupiego (Laurela), potrzebny tylko do puszczenia w ruch tego motoru rzekomej niezdarności. I sylwetkę ma banalniejszą.

Naturalnie film jako całość kompozycyjna rozpada się na kawałki, dzięki parze, która harcuje, nie zważając na operę.

Film odpowiedni dla młodzieży.

KANDYD

OFENSYWA

DE MORTUIS

LITERATURA niemiecka poniosła ostatnio dwie ciężkie straty, jak się to mówi, co jednak też jest tylko konwencjonalnym frazesem...

Zmarł poeta, zupełnie nieczytany i znany tylko z wielkiej aureoli. I zmarł prozaik, bardzo czytany i bardzo popularny.

Pierwszy był pisarzem dla pisarzów, arystokrata ducha, jak się to mówi (co jednak jest tylko konwencjonalnym frazesem), żyjącym w odosobnieniu, w „wieży z kości słoniowej", cieszącym się wielkim mirem wśród wtajemniczonych i wydającym dla nich specjalne pismo („*Blätter für die Kunst*"), gdzie drukował swoje gładkie, suche wyrzeźbione liryki, które mogły być, mogły nie być, wszystko jedno. Pismo ezoteryczne od lat dwudziestu ozdobione było stale swastyką, a wydawał je żyd Bondy. Wśród apostołów Stefana George'a właściwie przeważali żydzi: prof. Simmel, prof. Gundolf, prof. Kantorowicz, krytyk Wolfskehl. W opinji niemieckiej upornie utrzymywała się legenda, że Stefan George, Nadreńczyk, syn właściciela winnic nazywa się właściwie Abeles. To też i „*Blätter für die Kunst*" i grupę wytwornych ezoterystów zwalczał ostro w imię aryjskości germańskiej sędziwy i jeszcze przedwojenny pogromca supremacji żydostwa, historyk literatury Adolf Bartels.

Niedługo po Georgem zmarł Jakób Wasserman przeżywszy lat 60. Ten znów cieszył się wielką poczytnością, popularnością, a nawet sympatją, aczkolwiek żydostwa swego nigdy nie ukrywał, nazwiska ani religji nie zmienił, a ostatnio polemiczno-polityczne ekskursje też wydawał nie pod pseudonimem, a pod nazwiskiem (co mu już szkodzić musiało).

Należał do gatunku spokojnych, nie mącących, nie napastniczych, dosłownie uczuciowych żydów... Począwszy od powieści: „*Die Juden von Zirusdorf*" dawał co rok doskonale skomponowane, solidne narracje powieściowe. Powieść pt.: „*Geschichte der jungen Renate Fuchs*" (1900) pozostanie napewno w literaturze. Również epicznie potraktowany: „*Kaspar Hauser*" lub: „*Alexander in Babylon*". Podczas, gdy w Niemczech największy sukces zyskały sobie „*Christian Wahnschaffe*" i „*Erwin Renners Masken*" za granicami Niemiec, we Francji, w Anglji i nawet Polakom w Polsce bardziej konwenjował „*Fall Mauritius*". Wybaczało mu się łatwo rozmnożone w późniejszych tomach usterki kompozycyjne, pewien barok i pewną rozlewność. Miłość bliźniego była u Wassermana autentyczna i wiara w rezurrekcję sumienia u przeciętnego człowieka była też autentyczną. Dziś dopiero właściwie ceni się i szanuje tego dawnego Wassermana, żyda niemieckiego, gdy się te poważne, melancholijne, romantyczne opowieści zestawia z takimi ot smaroworami jak ten Erenburg lub ten Feuchtwanger, nie mówiąc już o furze gnoju tego paryskiego zbrodniarza - pisarza, którym ostatnio rozkoszowały się w Warszawie burżujskie degeneraty. I jeżeli co powinno iść na stos, na spalenie, to tym razem nie dawne powieści semity Wassermana, ale te sataniczne żygowiny Céline'a... może nawet z samym zbrodniarzem (dla przykładu!)

To też Wassermana w Berlinie podobno nie spalono. Nasze ży-Dicki z brukowców upierają się przy tem, że spalono. Niemiecka prasa natomiast twierdzi, że Wassermana nie spalono, jako że nic nie miał wspólnego ni z Marxem, ni z Magnusem (Hirschfeldem). I istotnie byłoby niedość usprawiedliwioną demonstracją, gdyby paląc, całkiem słusznie śmierdzące śmieciarstwo takich międzynarodowych wywłoków, jak Kisch lub Kerr, Marrusse czy Piscator, Mühsam czy Bernhardt i innych zajadłych parszywców, niebacznie rzucono w płomienie choćby nawet „Etzela Andergasta". Nie trzeba atoli zatajać, że w ostatniej fazie swej twórczości nawet ten ongiś przemiły opowiadacz i profesor wyrozumiałości (jak są „profesorowie energji") całkiem niepotrzebnie zeszedł na ulice, na place, na jarmark życia politycznego, całkiem niepotrzebnie wdał się w dyskusje i spory, a jeszcze niepotrzebniej w ostatnich swych utworach poczynił pewne koncesje dla panujących gustów powojennej hołoty intelektualnej. Oba apele do swoich i obcych, to jest dawne „*Mein Weg als Deutscher und Jude*", i ostatnie „*Selbstschau am Ende des sechsten Jahrrentes*" ani nie „rozwiązały kwestji żydowskiej", ani nie pomogły żydom niemieckim, ani nie wpłynęły na „opamiętanie" Germanów. Cierpiący nad niedolą swych współwyznawców, a raczej współrasowców Wasserman dał temu wyraz w sposób boleściwy i płaczliwy. Rasę swą widział usymbolizowaną w mitycznym „żydzie wiecznym tułaczu", a nie dostrzegł żyda wiecznego Ciułacza złota, Geldhaba, Shylockraty, mędrca Syjonu, megalomana - mesjanisty, imperjalisty. I pisał wtedy:

„Wartość i kulturę wszystkich narodów świata ocenia się według szczupłej garstki ich najznamienitszych i najszlachetniejszych jednostek, jedynie gdzie chodzi o żydów, wskazuje się na jednostki niskie i bierze się je jako miernik do oceny ogółu".

To jest nieprawda. Ceniono wysoko i u nas powieściopisarza Wassermana, aczkolwiek nasza kronika kryminalistyczna co jakiś czas wywleka na powierzchnię tegoż nazwiska Wassermanów: szpiegów, paserów, przemytników, szmuglerów, handlarzy kokainy i kobiet.

Na owe skargi i lamentacje Wassermana odpowiedziećby można najtrafniej słowami Papiniego z „Goga":

„Europa intelektualna dzisiejsza jest, w znacznej części, pod wpływem, albo jeśli pan woli, pod urokiem wielkich żydów, wyżej wspomnianych. Urodzeni pośród różnych narodowości, oddani rozmaitym poszukiwaniom, wszyscy owi Niemcy i Francuzi, Włosi i Polacy, poeci i matematycy, antropolodzy i filozofowie, mają wspólną cechę i wspólny cel, mianowicie: podawać w wątpliwość prawdy uznane, poniżyć to, co wznosi się wysoko, zbrukać to, co wydaje się czystem, zachwiać tem, co stoi mocno, ukamienować to, co doznaje szacunku. Tego rodzaju pędzenie („*propinazione*") odwieczne trucizn rozkładu jest zemstą żydowską względem świata greckiego, łacińskiego i chrześcijańskiego."

Że zaś Papini miał najpełniejszą, stuprocentową rację dowodem tego jest niestety... sam Wasserman.

Całe lata, całe dziesiątki lat trzymał się pięknie, bezprzygannie. Jego w każdym tomie między wierszami dostrzegalne żydostwo, niekiedy nawet afektowane, jednak nigdy nie drażniło, nie irytowało. Żydostwo bowiem było statyczne, nie tylko stateczne, ale statyczne. Ale i on nie wytrzymał. Gdy się zaczynał w Niemczech „zmierzch Izraela", ongiś ewangeliczny Wasserman już obmyślał zemstę na chrześcijaństwie („*Kampf gegen die Umwelt*"). I dał powieść o Kolumbie, może i historycznie prawdziwszym, ale ze zdecydowanie antykatolicką, antychrześcijańską, antyaryjską tendencją: bronić nawet Inkasów byle zdyfamować i pognębić katolików. Może i był Kolumb *conquistador*'em, może i za żydowskie pieniądze cała eskapada i Ameryki odkrycie, ale imicjacja twórcza, koncepcja fabuljerska ale moment pisania i wydania powieści szły z ducha Starego Testamentu: oko za oko, ząb za ząb. A potem przyszła plugawo-seksualistyczna, Freudoska, zamtuzowo-murzyńska, apelująca do *sex-appeal*'u mobu powieść paszkwil na Stanleya z... Eminem-Paszą,—coś zbliżonego już do poziomu Emila Ludwiga Cohna.

Umarł na *angina pectoris* („chodzi o to, aby serce się nie znużyło" mówi jego Wahnschaffe) pod Wiedniem. Nasze ży-dicki i „iksyony" (*sic*) z brukowców zełgały zaraz na poczekaniu, że „na banicji". Jest rzeczą możliwą, że śmierć przyśpieszyły zgryzoty z powodu pewnych szykan i przykrości, przez jakie teraz przeszła rozpanoszona, rozwierzgana i depcąca po miljonach Shylockracja i skrybokracja w Niemczech.

Jego można nawet żałować, tembardziej, gdy się pamięta sympatyczną postać z przed lat trzydziestu z Monachjum, z Café Eliza, z Luitpolda, z Miramare. Ciepła natura i piękny talent!

Natomiast kilkunastu z tych piszących co pouciekali, mogliby tam powyłapywać jakoś po Paryżach i Pragach, no i trochę tego... trochę to... trochę...

Gałęzie w Ogrodzie Luksemburskim jeszcze wcale tego, mocne. Czekają cierpliwie.

Ale najpierw oczywiście Céline.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jeden z ludu „wybranego i osobliwego", fejletonista „Naszego Przeglądu" trafnie odzwierciadlający nastroje szerokich warstw żydostwa, tak pisze o niemieckim ruchu przeciwżydowskim:

„I co zmajstrowali w Niemczech? Wyrzucili zdolnych aktorów, świetnych reżyserów, genjalnych uczonych, znakomitych prawników, doskonałych lekarzy, wielkich, fascynujących pisarzy, — i zostawili nudziarzy, nędznych kabotynów, płytkich uczeńców, niedołężnych reżyserów, niezdolnych konowałów. Z sześciuset tysięcy żydów wyjechało z Niemiec koło sześćdziesięciu tysięcy, przeważnie obywateli obcych. I wśród tych, którzy musieli wyjechać, ludzie zdolni, wartościowi, przedsiębiorczy, pieniężnie aktywni. Masa została. Masy pozbyć się nie można, żadnym, choćby najgwałtowniejszym sposobem..."

Z oświadczenia tego wynika, że 1°, naród żydowski jest narodem genjuszów, 2°, naród niemiecki jest narodem matołków i 3°, żydów nikt, znikąd, nigdy i żadnym sposobem pozbyć się nie zdoła. W tej ostatniej zapowiedzi mieści się nietylko najdrażliwszy punkt honoru, ale, poprostu, cały honor żydowski....

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.